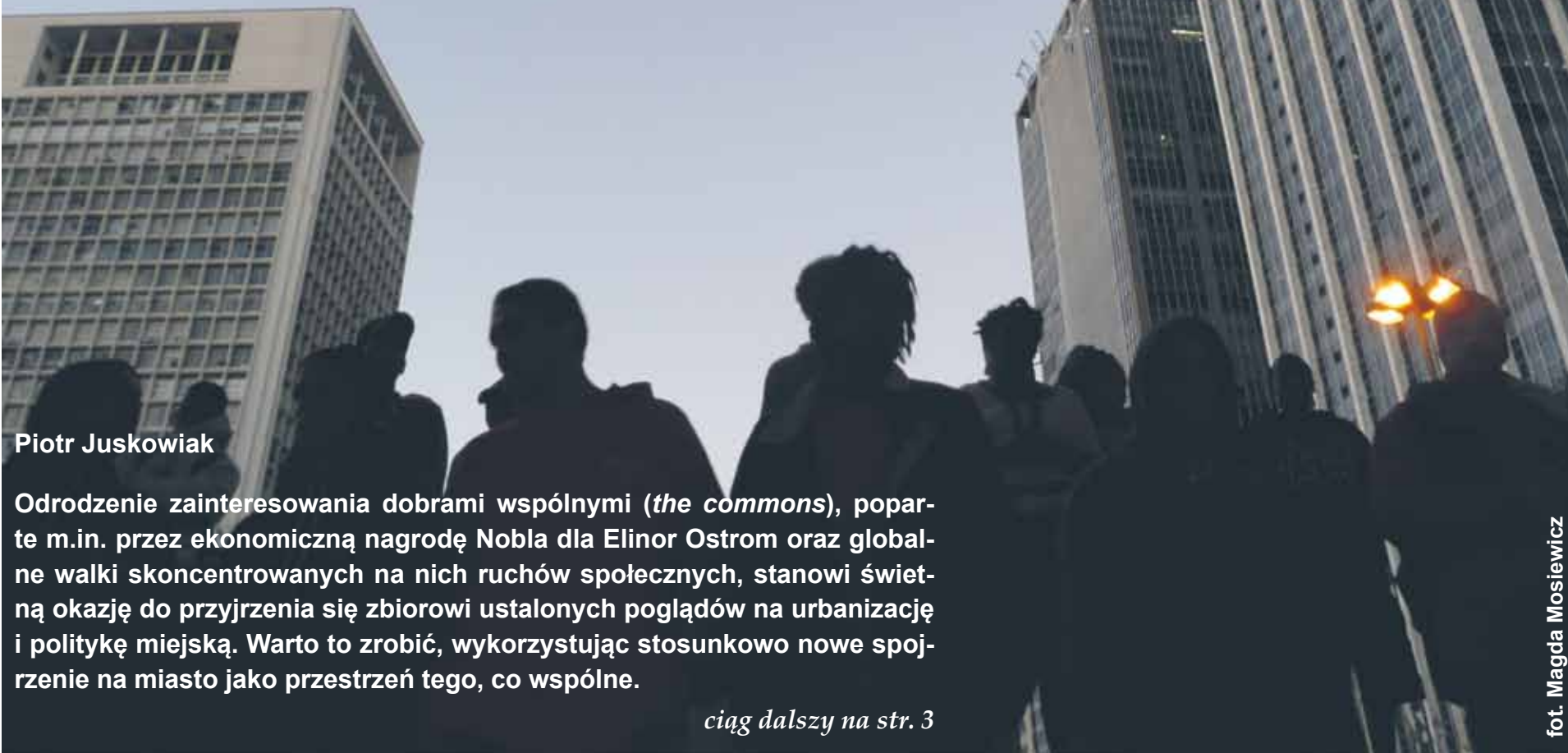


## Miejskie dobra wspólne i pasożytnicza urbanizacja, czyli jak zatrzymać złodzieja



Piotr Juskowiak

Odrodzenie zainteresowania dobrami wspólnymi (*the commons*), poparte m.in. przez ekonomiczną nagrodę Nobla dla Elinor Ostrom oraz globalne walki skoncentrowanych na nich ruchów społecznych, stanowi świetną okazję do przyjrzenia się zbiorowi ustalonych poglądów na urbanizację i politykę miejską. Warto to zrobić, wykorzystując stosunkowo nowe spojrzenie na miasto jako przestrzeń tego, co wspólne.

ciąg dalszy na str. 3

phot. Magda Mosiewicz

### Polityka mieszkaniowa to priorytet



**Joanna Erbel**

Aby pozwolić osobom biednym stanąć na nogi i przerwać spiralę zadłużenia, konieczne

jest zastosowanie mechanizmu oddłużania lokatorów. Zadłużeni mieszkańcy bardzo często nie płacą czynszu nie dlatego, że mają złą wolę, ale dlatego, że nie mają środków finansowych. To samotne matki, niepełnosprawni, bezrobotni. Umorzenie długu pozwoli

im zachować dach nad głową, a miastu lepiej organizować pomoc. Aktywna i służąca większości polityka mieszkaniowa to kwestia wyboru. Pora na zmianę priorytetów.

ciąg dalszy na str. 5

### Za lepszym miastem



**Tomasz Leśniak**

w rozmowie z Bartłomiejem Kozkiem

Każdy jest politykiem, bo też każdy i każda

z nas ma przecież mniej lub bardziej sprecyzowaną wizję miasta i jego poszczególnych elementów, jak np. edukacja, środowisko czy przestrzeń. Niestety jesteśmy jednocześnie skutecznie zniechęceni do udziału w życiu politycznym.

ciąg dalszy na str. 7

### Zrewitalizować rewitalizację



**WOJCIECH KŁOSOWSKI**

Ponura historia rewitalizacji w Polsce ma swoje pomniki niemal w każdym mieście. Przykładów tragicznych jest cała masa a przykładów dobrych, czy choćby poprawnych – bardzo mało.

ciąg dalszy na str. 8

### Zielona rewolucja przemysłowa



**BENOÎT LECHAT**

Zazielenienie przemysłu stanowi klucz do tego, byśmy mogli powstrzymać zmiany klimatu i zachować kwitnące społeczeństwo. Aby to osiągnąć, potrzeba nowego podejścia

ciąg dalszy na str. 18

### Miasta – ekofabryki przyszłości



**DIRK HOLEMANS**

W miarę szybko postępującej urbanizacji miasta będą stawać się coraz ważniejszym elementem przejścia w stronę gospodarki niskowęglowej. Mogą odegrać w nim rolę wiodącą

ciąg dalszy na str. 16

### Prawo do wody – walka w Salonikach



**MARCELINA ZAWISZA**

Mieszkańcy Salonik wygrali walkę z Komisją Europejską i rządem przeciwko prywatyzacji wodociągów. Na podstawie referendum, sąd uznał próbę prywatyzacji za nielegalną.

ciąg dalszy na str. 6

### Opowiedzieć łódź – pamięć miasta



**MARTA MADEJSKA**

O niezwykłym projekcie „Powiedzieć miasto – łódzkie historie mówione” dokumentującym pamięć miasta realizowanym przez stowarzyszenie Topografie

ciąg dalszy na str. 23

## W stronę dobra wspólnego



**Marcin Wrzos**

Tradycja dóbr wspólnych ma bardzo długą historię. Narzucona nam przez neoklasycyzną ekonomię definicja homo oeconomicus, nieustannie kalkulującej i zachłannej jednostki, jest stosunkowo nowa i można uznać ją bardziej za anomalię niż historyczną regułę. Nawet dziś, kiedy własność prywatna stała się fundamentem nowej neoliberalnej religii, użytkowe dobra wspólne zapewniają utrzymanie 25% ludności Ziemi. W podręcznikach ekonomii trudno jednak szukać wzmianki o takim sposobie korzystania z zasobów. Nawet jeśli się je dostrzeże, to traktuje jako bezwartościowe. Najważniejszy wskaźnik poziomu bogactwa PKB obejmuje tylko to, co wytwarzają rynki. Nic więc dziwnego, że mimo trzykrotnego wzrostu tego wskaźnika od roku 1950 poziom zadowolenia z życia niemal we wszystkich krajach pozostaje niezmiennie na poziomie 1975 r.

### Przeciw historycznym obciążeniom

W Polsce debata na temat dóbr wspólnych jest znacznie trudniejsza niż w innych krajach. Po II wojnie światowej to, co wspólne stało się synonimem własności państwowej. Dziś dominującą pozycję w gospodarce mają rynki, państwa zaś, jak się wyraził Michael Bauwens, są tylko „młodszym wspólnikiem sektora rynkowego”. W okresie realnego socjalizmu państwo starało się nie tylko ograniczać znaczenie własności prywatnej, ale również innych form własności. Dobra wspólne były rugowane nie przez prywatnych właścicieli, ale przez państwo, które niechętnie patrzyło na wszelką demokratyczną społeczną samoorganizację.

Nie wszyscy jesteśmy świadomi, w jak dużym stopniu korzystamy z dóbr wspólnych. Oddychamy powietrzem, które jeszcze do nikogo nie należy. Pijemy wodę, do której mamy swobodny dostęp. Możemy swobodnie zbierać w lasach grzyby czy jagody, odpoczywać w przestrzeni publicznej.

Pamięć o dobrach wspólnych żywa jest bardziej na wsi, ponieważ lokalna specyfika życia od zawsze wy-

muszała tam kooperację. Wzajemna pomoc i dość swobodne, ale oparte na zwyczajowych zasadach korzystaniu z własności innych było powszechne. Wymieniano między sobą nasiona, sezonowo wypasano bydło na pastwiskach sąsiada, budowano wspólne studnie, które choć znajdowały się na ziemi konkretnego właściciela, to korzystac z nich mogli wszyscy, nawet rodziny z nim skonfliktowane.

w komplecie i zapewne nie będą w stanie przetrwać oddzielnie, bo są od siebie wzajemnie zależne. Punktem odniesienia jest społeczność, co stwarza olbrzymie problemy neoliberalnej ekonomii, w której suwerenem może być tylko jednostka.

U źródeł dóbr wspólnych zawsze leży odpowiedzialność, również za przestrzeń wokół nas. W miejscu,

ja się dynamicznie ruch Slow Food. Zaczynają powstawać towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych, lokalne waluty i rozwija dynamicznie społeczność wolnego oprogramowania. Budżety partycypacyjne, których źródeł należy poszukiwać w dobrach wspólnych, rozprzestrzeniają się niczym wirus. Wprowadza go coraz więcej miast w Polsce, chociaż jeszcze nie do końca wszyscy rozumieją „o co w tym chodzi”.

Jednocześnie rozwijają się ruchy społeczne, które walczą z prywatyzowaniem dóbr wspólnych. W Warszawie

szech w referendum na temat prywatyzacji miejskich wodociągów i innych zasobów wodnych w kraju aż 94% głosujących odrzuciło możliwość prywatyzacji.

### Ramy naszej przyszłości

W trosce o wzrost PKB lub bilans korporacji nie uwzględnia się tego, co John Ruskin nazywa „antybogactwem”. Są to niemierzalne i niezamierzone szkody wyrządzone przez rynki. Koszty „antybogactwa” przenoszone są przede wszystkim na dobra wspólne. Dlatego, jak zauważa David Bollier, działalność rynkowa kłóci się z wartościami ekologicznymi. Dobra natury nie mają nalepki z ceną. Ograniczoność zasobów coraz częściej uświadamia nam, że powszechne w neoliberalnej ekonomii przekonanie, że jak coś nie ma przypisanego właściciela, to nie należy do nikogo, jest na dłuższą metę nie do utrzymania.

Własność prywatna nie jest wrogiem dóbr wspólnych. Potrzebna jest jednak równowaga, która uległa w ostatnich dziesięcioleciach zachwianiu. Przewaga rynków i bierna rola państwa sprawiają, że dobra wspólne są coraz bardziej zagrożone. Jak zauważa David Bollier, musimy wciąż zużywać więcej i więcej nieodnawialnych zasobów, szybciej i szybciej, po to tylko, żeby utrzymać obecny standard życia – jednocześnie tworząc coraz więcej „antybogactwa”, z którym nikt nie chce się zmierzyć. Globalne ocieplenie jest logiczną konsekwencją takiej mentalności.

Idea dóbr wspólnych daje nam ramy dla opisu nowej przyszłości, w której ważną rolę będzie pełnić samoorganizacja i samorząd. Już teraz uzupełnia to, a zarazem stanowi wyzwanie dla działalności państwa. Jak pisze David Bollier: „w dobru wspólnym chodzi o opiekę nad tym wszystkim, co posiadamy wspólnie, jako ludzie. O dbałość, abyśmy to dziedzictwo chronili i przekazali, nieumniejszone, następnym pokoleniom. To obejmuje wszystko, od dziedzictwa wiedzy i kultury, przez spójność naturalnych ekosystemów, przestrzeń publiczną i tradycję społeczności, niezbędne do życia wspólnie użytkowane lasy, łowiska i uprawy, aż do niezliczonych innych zasobów, jakie moralnie lub prawnie współposiadamy”.

.....  
**Marcin Wrzos jest politologiem, blogerem, publicystą „Zielonych Wiadomości”**



fol. Flickr.com / Brad Higham

Po okresie realnego socjalizmu zostało nam przekonanie, że „wspólne” znaczy niczyje. Ułatwiło to budowanie gospodarki, która gloryfikuje własność prywatną. Dobra wspólne traktowane są jako „komunistyczny” relikw. Wartość z definicji przypisujemy dobrom, które mają właściciela: prywatnego lub państwowego. Chęć określenia dokładnych zasad zarządzania dobrem wspólnym brzmi utopijnie lub co najmniej niepraktycznie.

### Nie tylko zasoby

Ten sposób myślenia po części wynika z tego, że dobro wspólne wiele osób utożsamia tylko z zasobami. Zdaniem Davida Bolliera to powszechny błąd. Oprócz zasobów wymienia on społeczność plus zestaw norm i reguł stosowanych do zarządzania nimi. Jego zdaniem dobra wspólne mają sens tylko

w którym mieszkam coraz częściej mieszkańcy organizują się i przejmują przyblokowe trawniki urządzając na nich kolorowe ogrody. Wszystkie decyzje podejmowane są demokratycznie. Każdy ma swoje miejsce do zagospodarowania i określony zakres obowiązków. W pewien sposób dochodzi do „właszczenia” przestrzeni publicznej, w rzeczywistości jest to jej odzyskiwanie. Każdy może się włączyć w pielęgnację ogrodu, o ile będzie przestrzegać wypracowanych zasad. Miejsca takie nabierają indywidualnego charakteru i stają się miejscem spotkań dla mieszkańców.

Podobnych inicjatyw pojawia się coraz więcej. Ludzie współdziałają, by zaspokajać swoje potrzeby. Wymaga to jednak zmiany w myśleniu. Chcąc mieć dostęp do zdrowej żywności, ludzie organizują się w kooperatywy spożywcze. Rozwi-

przykładem może być prywatyzacja SPEC, przedsiębiorstwa ogrzewającego mieszkania w mieście. Z ideologicznych powodów sprzedano coś, co funkcjonowało bardzo dobrze, przynosząc nawet zyski. Sprzedano mimo, że wcześniej z publicznych pieniędzy przeprowadzono kosztowny proces unowocześnienia infrastruktury. Zjawisko to doczekało się już specjalnego terminu: prywatyzacja zysków.

Korporacje coraz agresywniej starają się rozszerzać stan swojego posiadania kosztem dóbr wspólnych. Doskonale ilustruje to przykład miejskich wodociągów. Pomysł na ich prywatyzację stają się coraz powszechne. Następnym konsekwentnym krokiem jest wprowadzenie opłat za wodę (a nie za jej doprowadzenie). I tak rzeczywistość już się dzieje, co zawsze budzi szeroki społeczny protest. We Wło-

## Budujemy własną opowieść o mieście



**Lech Mergler współautor książki „Anty-Bezradnik przestrzenny. Prawo do miasta w działaniu” w rozmowie z Beatą Nowak.**

**Beata Nowak:** Skąd się wzięła ta książka – „Anty-Bezradnik przestrzenny. Prawo do miasta w działaniu”? Po co ona i komu?

**Lech Mergler:** Ze złości się wzięła. Na przykre poczucie bezradności, które było naszym udziałem jako mieszkańców i działaczy, kiedy bezsensowne inwestycje, komercyjne i publiczne, niszczyły przestrzeń naszego miasta, a my nie wiedzieliśmy, co zrobić. Zdobyliśmy szereg

doświadczeń, próbując przeciwstawiać się psuciu przestrzeni, z czasem, powoli coraz skuteczniej. Dzielimy się tym dorobkiem w książce, żeby pomóc innym, by nie musieli od zera, na błędach, krok po kroku dochodzić do tej wiedzy. Chodzi o procedury, przepisy, pragmatykę partycypacji społecznej w dziedzinie kształtowania przestrzeni miasta.

**BN:** Od ukazania się książki minął blisko rok. Co on ci przyniósł jako pomysłodawcy książki i autorowi jej głównej części?

**LM:** Współautorami są Kacper Pobłocki i Maciej Wudarski. Trochę się wydarzyło, sytuacje pokazujące odbiór książki i jej znaczenie dla odbiorców, głównie miejskich działaczy i trochę środowiska urbanistów. Zabawne było doniesienie, iż na Allegro ktoś wystawił Anty-Bezradnik na sprzedaż za 80 zł, choć książka jest bezpłatna i dostępna w internecie (<http://publica.pl/teksty/anty-bezradnik-wydany>). Inna informacja zwrotna, to przekaz-zarzut, iż książka jest

„lewicowa”. Nie brzydę się, ale założen ideologicznych książka nie miała. Chociaż upodmiotowienie mieszkańców to motywacja chyba raczej lewicowa.

**BN:** Jakież inne reakcje, bardziej serio, nie tylko anegdotyczne?

**LM:** Wszystko to, co się działo, było pozytywnie zaskakujące, bo Anty-Bezradnik to książka raczej hermetyczna, a nie lektura na kanapę. Ukazało się kilka rzeczowych recenzji, bardzo przyjaznych, były dwie nominacje do nagród. Co ważne – fachowcy urbanisci i architekci, badacze miasta i miejskości, nie znaleźli żadnego błędu, który należałoby nam, amatorom, wytknąć. Czyli wiedzieliśmy, co robimy, a Fundacja S.Batorego nie wyrzuciła kasy w błoto.

Bezpłatny nakład wydania papierowego rozszedł się niemal od razu do kilkudziesięciu miast. Potem, późną jesienią i na początku zimy, miałem okazję jeździć po kraju i komentować nasze dzieło. Byłem zaproszony do wszystkich największych miast, także w innych sprawach, ale An-

ty-Bezradnik wszędzie był znany. Poznałem nowych świetnych ludzi, społeczników, posłuchałem o sytuacji i problemach w poszczególnych miastach. Bardzo ważne, budujące i pouczające doświadczenie.

**BN:** Czy Anty-Bezradnik broni się po upływie roku? Pod jakim względem tak lub nie, i dlaczego?

**LM:** To powinien ocenić ktoś inny, nie autor. Mogę się zastanawiać, jak należałoby pisać Anty-Bezradnik dzisiaj, jakie motywacje i cele powinny tym kierować. Z jednej strony należałoby wziąć pod uwagę wiedzę o odbiorze obecnego wydania, z drugiej – sytuację, z jaką mamy do czynienia dookoła.

**BN:** Mógłbyś to objaśnić konkretniej?

**LM:** Chyba nie doceniliśmy zapotrzebowania na taką „narzędziową” książkę, i zaplanowaliśmy ją zbyt skromnie pod względem treści. Chodzi o oba rodzaje narzędzi, jakie przynosi Anty-Bezradnik: intelektualne oraz prawno-proceduralne. Pierwsze mają służyć zrozumieniu tego, co w miastach i z miastami w Polsce się dzieje, drugie są niezbędne do podejmowania skutecznych działań praktycznych dotyczących przestrzeni. Pierwsze tworzą zaplecze dla drugich. Jeśli np. angażujemy się w postępowanie dotyczące inwe-

# Miejskie dobra wspólne i pasożytnicza urbanizacja, czyli jak zatrzymać złodzieja



**Piotr  
Juskowiak**

*ciąg dalszy ze str. 1*

Ta perspektywa, forsowana przez takich teoretyków jak David Harvey czy Antonio Negri, nie tylko uwypukla jego wspólnotowy charakter, dostrzegając w mieście zbiorowy wytwór zamieszkujących je osób, ale też uwrażliwia jego mieszkańców na zagrożenia związane ze współczesną, publiczno-prywatną falą groźb, wywłaszczeń czy kontroli.

Zmiana dyskursu, za pomocą którego opisujemy nasze miasta, to szansa na porzucenie zdradliwego słownika neoliberalizmu (w swojej złagodzonej wersji uwzględniającego także takie terminy jak „partycypacja”, „kreatywność” czy „przestrzeń publiczną”) i uwidocznienie dokonywanych w jego ramach codziennych i zakrojonych na szeroką skalę kradzieży miejskiego bogactwa. Szansa, której nie sposób wykorzystać bez ponadklasowego porozumienia oraz odnowy oddolnej tradycji samorządności i współpracy, co wiązać się musi z wyraźnym zakwestionowaniem stojących za pasożytniczą urbanizacją kapitalistycznych struktur ekonomicznych.

## Miejskość i to, co wspólne

Połączone losy miast i dóbr wspólnych, jak przekonuje w swojej najnowszej książce „Stop Thief! The Commons, Enclosures and Resistance” wybitny historyk Peter Linebaugh to historia długowiecznego antagonizmu – ostateczny rozkwit i rozrost tych pierwszych to konsekwencja brutalnego wywłaszczenia drugich: opartych na demokratycznym gospodarowaniu przestrzeni wiejskich i tubylczych. Wyrażoną zmianę tego stosunku przynosi dopiero obecna, trzecia fala groźb związanych z kolejnymi przeobrażeniami kapitalizmu. Pozytywne efekty dokonującego się na naszych oczach przejścia to, z jednej strony, popularyzacja niekapitali-

stycznych, wspólnotowych modeli wytwarzania i wymiany dóbr (spółdzielnie, kooperatywy, miejskie ogródki), z drugiej – rosnąca świadomość faktu, że każdy z mieszkańców to pełnoprawny współtwórca i współwłaściciel swojego miasta, umożliwiającą, dzięki własnej szeroko rozumianej pracy, jego codzienny metabolizm i historyczne trwanie.

Na zmiany te reaguje powoli język nauk i ruchów społecznych, oferując nam nowe, bardziej otwarte i dynamiczne rozumienie tego, co wspólne. Znajduje to swoje przełożenie na gruncie miejskiej polityki w zakresie alternatywnych sposobów organizacji i dystrybucji miejskiego bogactwa. Rozszerzenie pojęcia dóbr wspólnych o niematerialne efekty ludzkiej współpracy (np. kulturę, język, styl życia, komunikację, wiedzę, sztukę, informację) pozwala widzieć w jego miejskich odmianach coś więcej aniżeli zastane, skonkretyzowane i materialne dobra naturalne (woda, powietrze, ziemia, las itp.), jak również przenieść akcent z samych zasobów na nieodłączną im praktykę uwspólniania. Tę zaś postrzegając jako świadome odwołanie mechanizmów wolnorynkowych, podejmowane w duchu kooperacji, solidarności i pomocy wzajemnej. Obecność tych ostatnich, jak również horyzontalne i antyhierarchiczne formy organizacji oraz dowartościowanie zjawiska współdzielenia, pozwalają widzieć współczesnych „kommonersów” (tzn. wytwórców, strażników i beneficjentów dóbr wspólnych) zarówno w miejskich ogrodach i skłotersach, jak i członkiniach globalnego ruchu Occupy.

Przedstawione rozumienie dóbr wspólnych, zakładając istnienie tworzącej je i opiekującej się nimi wspólnoty, zrywa z tematem z neoliberalnym równaniem: wspólne to niczyje. Okazuje się też, co równie ważne, zyskującym na znaczeniu narzędziem służącym odzyskiwaniu lub uwspólnianiu przestrzeni rozkładanej przez kapitał i podporządkowanych mu aktorów publicznych – niszczają-

cych pustostanów, opuszczonych lotnisk, skwerów i fabryk czy prywatyzowanych przez miejskie elity parków.

## Cicha kradzież

Produkcja miejskich dóbr wspólnych, choć zakorzeniona się w codziennych praktykach konsumpcji i reprodukcji, pozostaje wyjątkowo wrażliwa na przeciwstawne jej logice działania kapitału i neoliberalnego państwa. Sprzyja temu z pewnością radykalnie otwarte i odnawialny charakter miejskiego bogactwa, jak również jego swoista przezroczystość. Wielu autorów twierdzi wręcz, że dobra wspólne stają się widoczne dopiero w chwili swojego zaniku – gdy ulegają zniszczeniu lub prywatyzacji. Podejmowane w takiej sytuacji akty oporu okazują się często spóźnione. Tezę tę potwierdzają kolejne przykłady gentryfikacji w miastach o silnej tradycji protestu (Nowy Jork, Berlin, Barcelona, Londyn, Buenos Aires) dokonywane przy cichym lub nieświadomym współdziałaniu artystów i aktywistów. Prowadzące nie tylko do wymiany dotychczasowych mieszkańców objętej owym procesem dzielnicy (klasy robotniczej, emerytów, przedstawicieli mniejszości etnicznych), ale i do utraty kojarzonej z nimi miejskiej wyjątkowości czy autentyczności.

Gentryfikacja to tylko jeden z przykładów neoliberalnego groźbienia miejskich dóbr wspólnych. Pozostałe to m.in. utowarowienie metropolitalnych subkultur i estetyki (np. graffiti, grunge, skateboarding), urynkowanie ulicznych form komunikacji i ekspresji (vlepkki, flash mob), ograniczenie dostępu do przestrzeni rekreacyjnych (parki, place zabaw, boiska sportowe, akwenu), prywatyzacja i/lub zmiana funkcji przestrzeni publicznych czy wreszcie – przejmowanie miejskich „nieużytków” i zaostrzenie kontroli w stosunku do zarządzających nimi aktywistów (skłotersów, ogrodników, animatorów centrów społecznych itp.). Przechwyceniu podlega w ich wypadku nie tylko niematerialne dobro, ale i materialna przestrzeń jego użytko-

wania, co usprawiedliwiane bywa koniecznością modernizacji i postępu, poprawy jakości życia i stopnia bezpieczeństwa mieszkańców czy – co znacznie bliższe prawdy – zwiększania ekonomicznej atrakcyjności miasta i idącej za tym maksymalizacji zysków. Krajobraz po tak prowadzonej bitwie to zatem nie tylko mnożące się w miastach całego świata kamery przemysłowe, płyty czy punkty ochrony, ale i estetyzująca okolice mała architektura, miejska zieleń czy sztuka publiczna.

Tak rozumianemu groźbieniu dóbr wspólnych towarzyszy często całkowita zmiana stylu życia korzystających z nich ludzi – w tym utrata mieszkania i środków utrzymania. Pozwala to je łączyć z historycznymi przykładami grabienia „wspólnego pastwiska”. Tym, co odróżnia nowe formy wywłaszczeń od starych jest rosnąca cierpliwość, wyrafinowanie czy nawet dyskrekcja stojących za nimi aktorów. David Bollier pisze w tym kontekście o cichych i nieprzyciągających uwagi kradzieżach, które pozbawiają zawłaszczoną dobra wyróżniających je cech oraz „szkodzą ludzkim zdolnościom samorganizacji i samorządności, samodzielnego zaspokajania potrzeb, ochrony własnej kultury i sposobu życia” (*The Commons. Dobro wspólne dla każdego*, Zielonka 2014).

## Pasożytnicza urbanizacja i nowe ruchy miejskie

Szczególne zainteresowanie współczesnego kapitalizmu dla wyjściowego nierynkowych, ale podlegających skutecznemu utowarowieniu praktyk uwspólniania skłania badaczy do poszukiwania nowych miejskich metafor. Jedną z lepszych propozycji opisu takiego stanu rzeczy jest pojęcie „pasożytniczej urbanizacji”, którym posługuje się w swojej ostatniej książce „The New Urban Question” Andy Merrifield. Zwracając uwagę na sprawność systemu w neutralizowaniu potencjalnych ogniw oporu, ale i właściwą mu niezdolność do usunięcia stanowiącej o jego istocie nierówności, przypomina, że trwałość owego zjawiska to wspólny interes miejskich elit, zaniepokojonych coraz większą ilością alternatyw dla oferowanego przez nie modelu rządzenia. W miastach na całym świecie nie brakuje niestety udanych prób kooptowania dla tych celów samych miejskich aktywistów, co skutkować może neutralizacją politycznego potencjału dóbr wspólnych, jak również klasową barierą dostępu dla tych, którzy najbardziej ich potrzebują. Przykładów dostarczają tu nieudolne kopie miej-

skich commons w rodzaju wykluczających najuboższych, oddolnie grodzonych miejskich upraw czy sieci wymiany dla klas średnich.

Zauważmy, że takie postawienie sprawy – uotożsamienie miejskiego pasożyta z nielicznymi, lecz monopolizującymi władzę elitami – odpowiada rozpoznaniu oferowanemu przez same ruchy społeczne. Odzyskiwanie miasta staje się dla nich tożsame z upodmiotowieniem osławionych 99%, czyli osób pozbawionych prawa do decydowania o kształcie procesów urbanizacyjnych i sposobie prowadzenia miejskiej polityki. Wymusza to na miejskich aktywistach wyostrenie wrażliwości na niesprawiedliwość przestrzenną i nierówności klasowe oraz zachęca do uporczywego budowania politycznego sojuszu przeciwko pozostającemu w mniejszości kapitałowi, a ponad dotychczasowymi różnicami w spojrzeniu na to, co miejskie. Kluczowe znaczenie odgrywa w tym wypadku uczenie się w ramach ruchu, które pozwala na horyzontalną i ponadlokalną wymianę doświadczeń i taktyk pomiędzy aktywistami z całego świata, jak również dzielenie się wiedzą umożliwiającą odzyskiwanie i radykalne demokratyzowanie prawa do miasta.

Choć język dóbr wspólnych nie należy do kluczowych elementów toczony w Polsce dyskusji nad kształtem i powinnościami polityki miejskiej, warto pamiętać, że zachowuje on swój wyjściowy sens tylko jako narzędzie krytyki, kontestacji czy wreszcie zniesienia dominującego modelu gospodarczo-politycznego. Nie można w nim zatem upatrywać ani narzędzia reformy współczesnego kapitalizmu i państwa, ani sposobu na powrót do historycznych modeli gospodarowania zasobami. Dobra wspólne, nie służące antymiejskiemu eskapizmowi i klasowemu separacjonizmowi, wyposażają nas w instrumenty do budowania rzeczywistej alternatywy. Ta zaś uruchamiana być musi w samym sercu neoliberalnego splotu państwa i kapitału. Skoro, jak pisze Linebaugh, współcześni kommonersi nie mogą już uciec do lasu czy w góry, muszą podjąć się bezprecedensowego zadania uwspólnienia miasta.

.....  
**dr Piotr Juskowiak – kulturoznawca, tłumacz, redaktor czasopisma naukowego „Praktyka Teoretyczna”. W 2013 r. obronił rozprawę doktorską poświęconą problemowi wspólnoty w mieście postindustrialnym.**

stykcji deweloperskiej, to dla naszej strategii znaczenie ma to, jak interpretujemy i oceniamy rolę biznesu deweloperskiego w kształtowaniu przestrzeni miasta itd.

Wydaje mi się, że ten skondensowany punkt widzenia na problemy i sytuację miast, który zawarliśmy w pierwszej części *Anty-Bezradnika*, zatytułowanej „Zrozumieć miasto”, byłby już dziś niewystarczający.

**BN: Dlaczego, co się zmieniło? Rozmawiamy po upływie ledwie roku od ukazania się książki...**

**LM:** Od pomysłu ponad dwa lata... To są dziś narracje w większości oczywiste, obecne w obiegu także dzięki naszej książce: diagnoza powszechności chaosu przestrzennego, „moda” na ruchy miejskie, idea prawa do miasta i narracji konkretnej, kategoria demokracji miejskiej, struktura konfliktów o przestrzeń, spojrzenie na miasto jako spółkę z o.o. (albo firmę), oportunistyczny zamiast planowania przestrzennego itd. Zaproponowaliśmy, nieco brawurowo, kategorię „demokracji przestrzennej”, ale niezbyt się przyjęła.

Dzisiaj odczuwam coraz bardziej potrzebę pogłębionego rozumienia fenomenu miasta, z ugruntowaniem historycznym. Jestem po-

lekturze książki Andrzeja Ledera o „prześnio-nej rewolucji”, czytam Jana Sowę, i obawiam się, że bez drążenia „w głąb” będziemy od nowa wymyślać koło. Tymczasem może w IX, a może w XI wieku wymyślono w dziedzinie zarządzania miasta coś, co gdzie indziej jest oczywiste – w krajach, w których nie było kilkowiekowej zapasy w rozwoju miast, a o czym w naszej półperyferyjnej, postfeudalnej krainie nikt nie ma pojęcia. Kiedy np. zacząłem pytać kolegów-prawników o sens formalnych praw miejskich dzisiaj, zrobili wielkie oczy. Gmina wieś i miasto-gmina z kilkudziesięcioma tysiącami mieszkańców są w Polsce formalnie nierozróżnialne, także w kwestiach przestrzennych, choć to byty jakościowo odrębne. Miasto od wsi się u nas nie różni!

**BN: A co z aktualnością drugiego, obszerniejszego wątku książki, zawierającego opis możliwości społecznego udziału w procedurach urzędowych, kształtujących przestrzeń miejską?**

**LM:** Tu się nic istotnie nie zmieniło, są plany miejscowe i warunki zabudowy oraz studia przestrzenne. Ale można (i trzeba) pisać kolejne tomy o dobrych praktykach i kolejne studia pouczających przypadków (w książce jest szesć z Poznania, wszystkie aktualne). Przede wszystkim opisujące kolejne procesy:

dury: lokalizacji inwestycji celu publicznego, procedury środowiskowe, procedury ochrony wartości kultury oraz specustawę drogową, która pozwala obejść społeczny udział w decyzjach dotyczących inwestycji.

**BN: Powiedziałeś, że gdyby dziś pisał Anty-Bezradnik, należałoby wziąć pod uwagę zmienioną sytuację zewnętrzną. Co to znaczy?**

**LM:** Partycypacja społeczna w kształtowaniu przestrzeni miejskiej jest/powinna być dla ruchów miejskich bardzo ważna z kilku powodów. To obszar, gdzie grają wielkie pieniądze, więc zdarza się silna presja na decyzje. Po drugie – skutki tych decyzji sięgają dziesiątki albo i setki lat w przód, czyli trwale i nieodwracalnie zmieniają one miasto. Po trzecie – ta sfera jest uważana za niedostępną zwykłym obywatelom, bo on „się nie zna”. Jest zastrzeżona dla ekspertów, funkcjonariuszy władzy i inwestorów. Zatem jeśli w niej osiągniemy sukces, to w innych pójdzie już łatwiej.

Zmiana zewnętrzna polega przede wszystkim na upowszechnieniu przez władze społecznej i partycypacyjnej retoryki i rytuałów, ale bez rzeczywistej demokracji i uwspólnienia decyzji o przestrzeni w mieście. Mistrzowska miejscami gra pozorów.

Jednocześnie władze „zderęgulowały” urbanistów, odbierając im status zawodu zaufania publicznego i likwidując izby urbanistów. Przedstawiciele ruchów miejskich na IV Kongresie Urbanistyki Polskiej jesienią 2012 r. w Lublinie próbowali namówić to środowisko do walnięcia pięścią w stół w obronie stanu przestrzeni – bez skutku. A teraz urbaniści są wściekli...

**BN: Będzie ciąg dalszy Anty-Bezradnika?**

**LM:** Sens i materiał jest, nie ma środków. Poprzednio zajmowałem się wszystkim: pozyskaniem środków, opracowaniem koncepcji i planu książki, rozmowami ze współautorami, ustaleniem wydawcy i pertraktacji z nim, no i przede wszystkim samym pisanie. Teraz wołałbym już skupić się na pracy merytorycznej.

.....  
**Lech Mergler (ur. 1955), pierwszy zwód inżynier elektronik, po upadku komuny wydawca, redaktor i publicysta. Działacz społeczny, zaangażowany w ruchy miejskie. Współtwórca stowarzyszeń: My-Poznaniacy i Prawo do Miasta oraz Kongresu Ruchów Miejskich, inicjator i autor książki „Anty-Bezradnik przestrzenny. Prawo do miasta w działaniu”.**

# Kryzys mieszkaniowy w Londynie



**Darren Johnson**

**W Londynie coraz trudniej o mieszkanie na ludzką kieszeń. Dlaczego tak jest i jak to można zmienić, wyjaśnia zielony radny Londynu Darren Johnson.**

## Osiedle bez „biednych drzwi”

Projekt mieszkaniowy „One The Elephant” – jeśli wierzyć deweloperowi – jest eleganckim, 37-piętrowym wieżowcem mieszkaniowym, który ma wyznaczyć nowe standardy zrównoważonego, praktycznego, nowoczesnego stylu życia w Londynie. Okoliczni mieszkańcy patrzą się na niego raczej jak na luksusową inwestycję, która ma za cel wykurzenie klasy robotniczej z tej części miasta.

Ceny mieszkań wynoszą od pół miliona funtów za kawalerkę aż po milion funtów za najlepsze oferty z trzema sypialniami. Przypomnijmy – przeciętny dochód gospodarstwa domowego w okolicy wynosi 40 tysięcy funtów.

Jeśli nie byliście nigdy w tej części Londynu, to dodam, że nie jest to najpiękniejszy zakątek miasta. Rejon Elephant & Castle nazywany był „Południowym Piccadilly”, co miało odwoływać się do faktu, że był on ważnym miejscem zakupów dla tamtejszej, głównie robotniczej ludności. Dziś to jeden z najbardziej zapszczonych rejonów centrum Londynu, otoczony przez dwie duże drogi o olbrzymim natężeniu ruchu.

Bliskość centrum i zgoda lokalnych władz na sprzedaż ziemi i mieszkań komunalnych w celu „rewitalizacji” okolicy zamieniły ten fragment Londynu w pole bitwy między deweloperami i inwestorami z jednej, a zwykłymi mieszkańcami z drugiej strony.

W „One The Elephant” nie będzie żadnych mieszkań w przystępnych cenach. To coraz bardziej powszechny problem. Deweloperzy wmówili lokalnym radnym, że nie będą w stanie sprzedać oferowanych przez siebie mieszkań po wysokich cenach, jeśli ich potencjalni nabywcy spodziewaliby się, że będą się tu mieszać ze „zwykłymi ludźmi” z południa Londynu.

Pojawia się również trend wprowadzania osobnych, zlokalizowanych na tyłach budynków, wejść i wind dla lokatorów mieszkań komunalnych. Lokalna prasa ochrzciła ten fenomen mianem „biednych drzwi”. Deweloper projektu „One The Elephant” uznał jednak, że w budynku z mieszkaniami za milion funtów takie rozwiązanie byłoby... za drogie. Radni stwierdzili więc, że pozwolą mu go zrealizować bez jakichkolwiek przystępnych cenowo mieszkań w środku.

Coraz więcej tego typu inwestycji powstaje bez zagwarantowania jakichkolwiek tanich mieszkań dla lokatorów o niskich dochodach. Jedną z inwestycji – Capital Towers, tuż przy Parku Olimpijskim – reklamuje swą ofertę we wschodniej Azji, bez owijania w bawełnę, jako „w pełni prywatny projekt bez mieszkań socjalnych”.

## Eksodus niezamożnych

Określenie „przystępne cenowo mieszkania” powoli traci zresztą

jakiegokolwiek znaczenie. Niektóre mieszkania oferowane w tej kategorii sprzedawane są w modelu własności podzielonej, w którym kupujący nabywa udział w mieszkaniu i płaci czynsz za jego resztę. Dochody osób korzystających z tego modelu w ostatnich latach rosły i dziś większość takich mieszkań dostępnych jest dla 20% najlepiej zarabiających mieszkanki i mieszkańców Londynu.

Rząd Davida Camerona zakończył finansowanie budownictwa społecznego, w którym czynsze ustawiane są zgodnie z ogólnokrajowym wskaźnikiem, umożliwiającym utrzymanie ich na niskim poziomie. Dziś wynajem tzw. „tanich mieszkań czynszowych” może kosztować nawet 80% tego, ile zapłacilibyśmy za wynajem na rynku. Teoretycznie rzecz biorąc „tani czynsz” w okolicy Elephant & Castle może wynieść 760 funtów tygodniowo, co warto porównać z rentą socjalną, która wynosi 127 funtów na tydzień. Lokatorzy muszą pokrywać różnicę zasiłkami mieszkaniowymi (a więc płatnościami socjalnymi), co staje się coraz trudniejsze z powodu cięć w systemie zabezpieczeń społecznych. Zmusza to setki rodzin z dziećmi do wyprowadzki z Londynu.

Analizy przeprowadzone przez lokalną kampanię obywatelską wykryły, że udział budownictwa społecznego o przystępnych cenach w nowych projektach realizowanych na terenie Elephant & Castle wyniesie jedynie 8%, co mocno kontrastuje z faktem, że aż 70% mieszkanki i mieszkańców okolicy to lokatorzy socjalni.

Burmistrz miasta, konserwatysta Boris Johnson mógłby argumentować, że taki rozwój sytuacji jest pożądanym – tworzymy bowiem „różnicowane społeczności lokalne”.

Sęk w tym, że w mieście, w którym buduje się za mało nowych mieszkań socjalnych, likwidacja części już istniejących sprawi, że ich dostępność dla ludzi o niskich i średnich dochodach w rejonach takich jak Elephant & Castle jeszcze bardziej spadnie.

## Żurawie zamiast drzew

Projekt „One The Elephant” powstaje na terenie zajmowanym

niegdyś przez centrum wypożyczkowe, które zostanie odbudowane nieopodal. Niestety, tysiące mieszkań socjalnych w okolicy zostanie zburzonych, by zrobić miejsce dla nowych, luksusowych przedsięwzięć.

Ignorowane są również konsekwencje ekologiczne wyburzania tak dużej liczby budynków, zamiast zadbania o ich termorenowację. Rozbiórka, oczyszczenie przestrzeni oraz budowa nowych mieszkań wymaga olbrzymiej ilości materiałów i energii, co wiąże się ze sporym śladem węglowym. Burmistrz zlekceważył mą sugestię, by przy planowaniu i wyborze różnych opcji dla okolicy korzystać ze wskaźników takich jak zużycie wody czy emisje gazów cieplarnianych.

Pomagałem lokalnym aktywistom w ratowaniu zagrożonych wycinką drzew. Zburzony już Heygate Estate był projektem, w skład którego wchodził również niesamowity miejski las z przeszło 400 drzewami zapewniającymi cień i ochłodę – co jest nie bez znaczenia w obliczu związanego ze zmianami klimatu wzrostu temperatury w naszych miastach. Była to przestrzeń odpoczynku i spotkań dla okolicznej społeczności, ale też miejsce życia ptaków i owadów.

Mieszkańcy, budynki, drzewa – wszyscy zostali wypędzeni z zajmowanego przez siebie terenu przez burmistrza, radnych i niewrażliwych na ich potrzeby deweloperów.

Burmistrz Londynu sądzi, że wspomniane tu projekty rewitalizacyjne stanowią rozwiązanie problemu wysokich kosztów mieszkań w Londynie – i że mieszkańcy znajdą pocieszenie w widoku wyrastających jeden za drugim żurawi budowlanych.

Wiele mieszkających w Londynie osób o niskich i średnich dochodach czuje się jednak pozostawionych samym sobie. Polityka władza miasta zdaje się służyć głównie bogatym inwestorom, a nie ludziom poszukującym dachu nad głową.

## Pięć wad polityki miejskiej Torysów

Johnson aktywnie zachęca do inwestycji w mieszkania – niezależ-

nie od tego, czy kupują je bogacze zza granicy, czy chętne do ich wynajmowania Brytyjki i Brytyjczycy. Ma do tego powody – domy istotnie się budują.

Od dawna zauważałem jednak, że promowany przez niego model ma pięć wielkich wad:

– Inwestorzy – a nie lokatorzy – kupują mieszkania, co zmusza większość mieszkających w Londynie do tego, by przez całe życie płacić czynsz bez gwarancji stałego miejsca zamieszkania.

– Mieszkania należą do coraz mniejszego kręgu osób, wśród których nie brak ludzi, którzy nie zamieszkują w posiadanych przez siebie lokalach.

– Dochodzi do nieuzasadnionych wyburzeń, zmuszających do wyprowadzki z Londynu osoby uboższe.

– Lokatorzy są lekceważeni i źle traktowani, zamiast – jak twierdzi burmistrz Johnson – wzmacniani.

– Powstaje niewiele mieszkań socjalnych, co prowadzi do niedoborów w tym segmencie rynku.

Polityka rządu postawiła lokalnych radnych, planistów oraz mieszkańców w niekomfortowej sytuacji. Ich pole manewru ograniczone jest przez neoliberalny dogmat, jakoby wystarczyli nam prywatni inwestorzy, by budować więcej mieszkań. Ignoruje się potencjał, jaki mają inne podejścia.

Mieszkania dostarczane przez prywatnych deweloperów nigdy nie przyczynią się do rozwiązania kryzysu mieszkaniowego. Deweloperzy nigdy nie będą w stanie zbudować tylu mieszkań, ile potrzebujemy dla naszego rosnącego liczebnie społeczeństwa oraz dla zaspokojenia potrzeb właścicieli drugiego, trzeciego mieszkania, bogatych rodaków oraz zagranicznych inwestorów.

## Ochrona lokatorów po brytyjsku

Ponieważ mieszkanie własnościowe stało się dla większości z nas – poza najbogatszymi – nierealnym marzeniem, a zasób mieszkań komunalnych z roku na rok się kurczy, domem są coraz częściej wynajmowane prywatnie mieszkania czynszowe.

Lokatorzy mieszkań prywatnych w Wielkiej Brytanii „cieszą się” jedną z najsłabszych ochron prawnych w Europie. Mogą być eksmitowani przez właściciela mieszkania co pół roku bez podania powodów. Nie ma żadnej kontroli nad poziomem wzrostu czynszów, a lokatorzy zmuszeni są uiścić różnego rodzaju opłaty w tak dużej wysokości, jak tylko ujdzie na sucho agentom nieruchomości.

Kiedy już zapłacili opłaty manipulacyjne i opłacili czynsz za pierwszy miesiąc, lokatorzy mają „szansę” na wyjątkowo słabe warunki mieszkaniowe. Ponad jedna trzecia prywatnych mieszkań na wynajem w Londynie jest „niegodna zamieszkania” – nie zapewnia bowiem podstawowych standardów, takich jak odpowiednia łazienka, kuchnia, szelne okna itp. Nie ma również żadnych skutecznych rządowych projektów termorenowacyjnych nakierowanych na ten sektor mieszkaniowy, a w efekcie jest on najbardziej nieefektywny energetycznie.

Słabo w tym sektorze działa również dostęp do recyklingu czy do bezpiecznych miejsc parkingowych dla rowerów. Utrudnia to osobom zamieszkującym takie mieszkania prowadzenie bardziej zielonego trybu życia.

## Rosnący opór

Kryzys mieszkaniowy w Londynie ma przygnębiający charakter. Na szczęście rosną grupy lokatorów oraz lokalnych społeczności, chcących z nim walczyć.

Pracowałem z nimi w konkretnych sprawach, takich jak „One The Elephant” czy Heygate Estate, przedkładając ich postulaty burmistrzowi oraz lokalnym radnym.

Zajmowałem się również tym problemem jako przewodniczący komisji mieszkaniowej w Radzie Wielkiego Londynu. Przez ostatnie lata dokonywaliśmy dużych przeglądów sytuacji w prywatnych mieszkaniach czynszowych oraz w budownictwie komunalnym. Ich rezultatem było rekomendowanie nowych form ochrony lokatorów, zbliżających ich pozycję do tej, jaką cieszą się w kontynentalnej Europie.

Komisja jest obecnie w trakcie badania kwestii rewitalizacji przestrzeni mieszkaniowych, sprawdzając, co skłania tak dużą liczbę właścicieli do tego, by burzyć należące do nich mieszkania zamiast poddawać je termorenowacji.

Mamy nadzieję, że skłonimy burmistrza oraz rząd do odpowiedzi na popyt mieszkaniowy poprzez rozwiązanie w rodzaju podatku od wartości gruntu czy dawanie lokalnym radom, spółdzielniom oraz inicjatywom mieszkaniowym pieniędzy oraz możliwości budowy mieszkań, które pozostaną tanie niezależnie od zawirowań na rynku. Zwykłym ludziom należy również zapewnić lepszą ochronę w trakcie zwalczania problemów z niedoborem mieszkań, np. dzięki kontroli maksymalnego wzrostu wysokości czynszu czy lepszej ochronie praw lokatorów.

.....  
Darren Johnson jest działaczem Partii Zielonych Anglii i Walii, od 2000 r. radnym Londynu, gdzie przewodniczy komisji mieszkaniowej. W latach 2002-2014 był radnym londyńskiej dzielnicy Lewisham.

Tłumaczenie: Bartłomiej Kozek

Na zdjęciu: Heygate Estate, Elephant & Castle, London



fot. Flickr.com / Amanda Vincent-Rous

# Polityka mieszkaniowa to priorytet



fot. Tomasz Michalczewski

## Joanna Erbel

Polityka mieszkaniowa jest obecnie w Polsce jednym z najbardziej palących, a zarazem najbardziej zaniedbanych przez władze – zarówno państwowe, jak i samorządowe – obszarów. Brakuje mieszkań komunalnych, brakuje skutecznej ochrony lokatorów i lokatorek przed „czyścicielami kamienic” czy wpadaniem w spirale zadłużenia. Na domiar złego sejmowa podkomisja właśnie odrzuciła propozycję zmian w prawie, które miały zmniejszyć właścicieli kamienic do odcinania lokatorom wody.

Mimo iż w kilku miastach Polski działają okrągłe stoły mieszkaniowe lub lokatorskie, trudno mówić o istnieniu partnerskiego dialogu między władzami miast a stroną społeczną. W szczególnie ciężkiej sytuacji jest tutaj Warszawa, która nadal boryka się ze skutkami dekretu Bieruta i koniecznością zwracania kamienic, zwykle zamieszkałych. Prowadzi to do wielu ludzkich dramatów. Władze miasta wraz z przejęciem kamienicy przez nowego właściciela przestają się czuć odpowiedzialne za dalszy los lokatorów i lokatorek. Ci zaś zostają pozostawieni sami sobie wobec rosnących czynszów.

Wyzwaniem dla samorządów jest powrót do odpowiedzialnego kształtowania polityki mieszkaniowej, która powinna być traktowana jako jeden z priorytetów polityki miejskiej. Zwłaszcza że w tym momencie więcej uwagi poświęca się rozbudowie infrastruktury drogowej niż szukaniu sposobu na powiększenie zasobu komunalnego, wspieraniu mieszkań o umiarkowanych czynszach czy tworzeniu alternatywy wobec mieszkań deweloperskich. A przecież odpowiedzialna polityka mieszkaniowa to konstytucyjny obowiązek samorządów. Zgodnie z art. 75 Konstytucji RP „władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli, w szczególności przeciwdziałają bezdomności, wspierają rozwój budownictwa socjalnego oraz popierają działania obywateli zmierzające do uzyskania własnego mieszkania”.

## Deweloper na swoim

W praktyce jednak polityka mieszkaniowa została oddana mechanizmom wolnorynkowym. To deweloperzy kształtują rynek

mieszkaniowy. Władze państwowe przez ostatnie lata jeszcze te procesy wspierają. Działający od 2009 r. program Rodzina na Swoim (RnS), który miał pomóc młodym rodzinom w nabyciu własnego mieszkania, był w praktyce dopłatą do kredytów bankowych. Z kolei kolejnych program Mieszkanie dla Młodych (MdM), który zastąpił RnS w 2014 r., zmusza do kupowania mieszkań wyłącznie na rynku pierwotnym. Jest więc kołem ratunkowym rzuconym deweloperom, którzy nie mogli sprzedać mieszkań wybudowanych na przedmieściach. Pułap cenowy zawarty w MdM sprawia, że w ramach programu nie można kupić nowego mieszkania w centrum miasta.

Mimo że zarówno RnS, jak i MdM to programy państwowe, władze samorządowe mogą lobbować za innymi rozwiązaniami i aktywniej korzystać z istniejących już narzędzi. Bank Gospodarstwa Krajowego realizuje obecnie program wsparcia budownictwa socjalnego ze środków Funduszu Dopłat. Celem programu finansowego wsparcia w zakresie tworzenia lokali socjalnych, mieszkań chronionych, noclegowni i domów dla bezdomnych jest zwiększenie zasobu lokali oraz pomieszczeń służących zaspokojeniu potrzeb osób najuboższych. Jednak to od samorządów zależy, czy będą starały się o te środki. W ciągu ostatnich sześciu lat warszawski ratusz złożył jedynie trzy wnioski o tego typu dopłaty.

W 2015 r. rusza program wspierania społecznego budownictwa czynszowego przygotowany przez Ministerstwo Infrastruktury i Rozwoju. Na początek ma powstać 10 tys. czynszówek. To, czy pojawią się one w danym mieście, również zależy od tego, czy władze samorządowe będą zainteresowane prowadzeniem aktywnej polityki mieszkaniowej. Jeśli pojawi się wola polityczna, to Warszawa, która ma praktykę w pozyskiwaniu środków z funduszy unijnych, powinna poradzić sobie bez problemu.

## Mikrospółdzielnie alternatywą dla mieszkań deweloperskich

Poza wpływaniem na państwowe programy władze miasta mogą również wspierać tworzenie mikrospółdzielni mieszkaniowych.

Zadaniem władz miasta jest w tym przypadku wydzielanie małych

działek pod inwestycje. Umożliwi to grupom osób stawianie budynków mieszkalnych po niższych kosztach niż deweloperskie. Wsparcie miasta będzie polegać również na wpływniu na politykę banków komercyjnych, aby stworzyły ofertę kredytową dla mikrospółdzielni. Miasto może również wynająć architektów do przygotowywania kilku wzorcowych projektów budynków pasywnych, które będą przyjazne, energooszczędne i w dłuższej perspektywie tańsze w utrzymaniu dla ich mieszkańców i mieszkańców. To rozwiązanie jest bardzo popularne na Zachodzie Europy, np. w Szwajcarii. W Polsce do takiego programu przymerza się Wrocław.

## Prawa lokatorek i lokatorów w działaniu

Odpowiedzialna polityka mieszkaniowa, jak każda miejska polityka, jest tym lepsza, im silniejsza jest współpraca władz samorządowych z organizacjami lokatorskimi.

W tym momencie ten dialog kuleje, a większość decyzji – jak podwyżka czynszów czy nowe programy programy mieszkaniowe – podejmuje się w zaciszu gabinetów. Stworzenie kompleksowej polityki mieszkaniowej wymaga współpracy różnych środowisk zajmujących się kwestiami mieszkalnictwa: władz samorządowych, ruchów lokatorskich, deweloperów, zewnętrznych ekspertów i ekspertek oraz osób reprezentujących wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe.

Taka współpraca jest konieczna, aby odpowiedzieć na potrzeby mieszkaniowe wszystkich grup społecznych, a nie jedynie wąskiej grupy dochodowej, niezależnie, czy będą to lokatorzy i lokatorki mieszkań komunalnych, czy – z drugiej strony – osoby starające się o kredyt na mieszkanie deweloperskie. Konieczne jest tworzenie Okrągłych Stołów Mieszkaniowych, które będą zrzeszały zarówno organizacje lokatorskie, jak przedstawicieli i przedstawicielki deweloperów, spółdzielni mieszkaniowych oraz ekspertów i ekspertki z obszaru polityki mieszkaniowej. Wieloletnie zaniedbania w zakresie polityki mieszkaniowej wymagają silnej partnerskiej współpracy wielu środowisk.

Przerwijmy spiralę zadłużenia

.....  
Joanna Erbel – socjolożka miasta, fotografka, aktywistka, publicystka. Kandydatka Partii Zieloni na stanowisko Prezydenta m. st. Warszawy

## Niewidzialni

### Małgorzata Aulejtner

Nie widać ich z okien wielkich apartamentowców, z urzędniczych gabinetów Miasta Stołecznego ani innych ważnych instytucji. Czasami – bezskutecznie – upomni się o nich Rzecznik Praw Obywatelskich. Od lat brak woli politycznej do rozwiązania problemu.

Bezdomni. Ludzie najbardziej wykluczeni. Bardzo często brudni, w zaniebanych, zniszczonych ubraniach, nierzadko zawszawieni i zarobaczeni, z cuchnącymi ranami na nogach i innych częściach ciała. To ich widzimy w środkach komunikacji miejskiej, w parkach oraz na dworcach kolejek podmiejskich.

Tak bywa latem. Zimą nagle „znikają”. Pojawiają się wówczas za to głośnie apele w mediach i nagły przypływ miłosierdzia ze strony władz miasta. Szukajmy bezdomnych, bo w okresie zimowym zdarza się im umrzeć z zimna i głodu.

Tymczasem, wbrew pozorom, bezdomni mają problemy nie tylko zimą, lecz przede wszystkim w miesiącach letnich. To głównie wtedy chorują i są stałymi, nierzadko codziennymi pacjentami izb przyjęć i szpitalnych oddziałów ratunkowych.

Częstym gościem szpitali jest wówczas bezdomny pacjent, który niedoleczony wraca na ulicę i po pewnym czasie powraca jeszcze bardziej chory, wymagając jeszcze większej opieki niż poprzednio. Rzadko który bezdomny zgadza się na przewiezienie ze szpitala wprost do schroniska.

Nikt nie potrafi ich policzyć. Czasami robią to streetworkerzy, czyli grupy zapaleńców, pomagające wyjść z bezdomności, narkomanii, prostytucji, a także działający z dziećmi w ich środowisku i na ulicach. Dużą rolę odgrywają również organizacje pozarządowe i pracownicy socjalni, bez których wielu bezdomnych nie znalazłoby żadnego oparcia i pomocy.

Gdzie w tym wszystkim są władze Warszawy? Na stronach miasta można przeczytać o dużych pieniądzach, przeznaczanych dla organizacji pozarządowych na organizację noclegowni, schronisk i jadalni.



fot. Marcin Wrzoss

Jednak pomimo istniejących schronisk, noclegowni oraz prężnie działających organizacji pozarządowych ludzie bezdomni nie są w stanie uzyskać dostatecznego wsparcia w zakresie higieny osobistej, odżywiania i przewlekłego leczenia ambulatoryjnego.

W każdej dzielnicy miasta powinny się znaleźć dedykowane im łącznie z możliwością dezynsekcji, wymiany odzieży na nową oraz punktem konsultacyjnym, gdzie osoba bezdomna otrzymałaby informacje dotyczące możliwości pobytu w schronisku czy pomocy psychologicznej. Streetworkerzy mogliby towarzyszyć jej w miejscach, w których przebywa.

Jedyną niosącą pomoc bezdomnym przychodnią w Warszawie jest działająca na Woli placówka Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei”. Nie pytają tam o dowód osobisty czy przynależność do oddziału NFZ, tylko udzielają wsparcia i leczą bez względu na pochodzenie. Dlaczego nie stworzyć punktów opieki ambulatoryjnej dla bezdomnych, tak jak to było przed laty? Ich brak wynika z braku znajomości problemu przez władze miasta, żyjące od wyborów do wyborów.

Ze wspomnianych przeze mnie ośrodków konsultacyjnych mogliby przecież korzystać również ludzie mający swoje mieszkania, osoby o niższym statusie społecznym, zagrożone wykluczeniem. Do dzisiaj w Warszawie pełno jest miejsc, gdzie nie ma dostępu do bieżącej wody i toalet, co stanowi wstydlivy temat dla urzędników, szczytujących się nowymi arteriami komunikacyjnymi, metrem i szklanymi wieżowcami.

Ktoś może zarzucić mi, że to bezsensowne działania. Że otoczenie opieką bezdomnego jest niepotrzebne, generuje za duże koszty i niewiele pożytku. Będę trwała przy swoim zdaniu. Dziś bezdomnym może zostać każdy. Brak mieszkań socjalnych, stabilizacji, pracy i możliwości uzyskania ogromnego kredytu pomimo braku zdolności kredytowej – to problemy, które mogą dotknąć nas wszystkich.

Nikt nie rodzi się bezdomny. Nikt na początku swojego życia nie wyobraża sobie, że nim zostanie. Pamiętajmy o tym.

.....  
Małgorzata Aulejtner – od 34 lat czynnie pracująca pielęgniarka Izby Przyjęć w Szpitalu Grochowskim w Warszawie

# Jak w Krakowie igrzyska zatrzymano



**Michał Wszolek**

Referendalne NIE dla organizacji Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Krakowie to być może największy sukces aktywistów miejskich w całym kraju. Ale gdy jesienią 2013 r. powstawał ruch Kraków Przeciw Igrzyskom, mało kto spodziewał się, że uda się utrać kandydaturę miasta do organizacji igrzysk w 2022 r. Walka była nierówna: po jednej stronie cały aparat krakowskiej władzy sowiec finansujący kampanię proigrzyskową, po drugiej – kilkunastu aktywistów, którzy chcieli rzeczowego dialogu na temat przyzka, jakie niesie dla miasta przeprowadzenie tak dużej imprezy.

## Wszyscy za

Pomysł organizacji igrzysk zyskał poparcie władz Krakowa i kilku innych małopolskich gmin, Sejm oraz rządów Polski i Słowacji. W parlamencie przeciw uchwale głosowało tylko dwoje posłów, w tym Anna Grodzka, dziś reprezentująca Zielonych. Początkowo ruch był silny głównie w internecie, zwłaszcza poprzez profil prowadzony na Facebooku. Nie trzeba było jednak długo czekać, by sprawą zainteresowały się media. Było to łatwe paradoksalnie dlatego, że prawie wszyscy wierzyli wówczas w magię igrzysk, więc postawa przeciwna była w swoistej awan-

gardzie. Badania opinii publicznej zleczone przez Urząd Miasta Krakowa i opublikowane w listopadzie 2013 r., mimo że nie do końca miarodajne, dawały dużą przewagę zwolennikom organizacji igrzysk (w skali kraju 81% za, w Małopolsce – 79%, w Krakowie – 66%).

Zdaniem miasta na podstawie tych korzystnych badań należało przyjąć, że komitet organizacyjny pod kierownictwem posłanki PO Jagny Marczułajtis-Walczak ma dostateczną legitymację i społeczne poparcie do przygotowania krakowskiej kandydatury. Z takim postawieniem sprawy nie zgadzali się aktywiści. Ich zdaniem jedynym wiarygodnym sposobem rozstrzygnięcia sprawy byłoby zorganizowanie referendum lokalnego poprzedzonego obiektywną kampanią informacyjną. Pomysł referendum był jednak konsekwentnie odrzucany. Argumentowano, że to niepotrzebny wydatek (co brzmiało zresztą dość absurdalnie, skoro szacowany budżet igrzysk sięgał blisko 22 mld zł, a koszt organizacji głosowania to ok. 2-2,5 mln).

## Po igrzyskach zostają długi

Ruch Kraków Przeciw Igrzyskom chciał zwrócić uwagę na fakt, że wszystkie miasta, które do tej pory organizowały imprezę, nie potrafiły oszacować realnych kosztów jej przeprowadzenia, co często kończyło się wpadaniem w długi (np. w kanadyjskim Vancouver). W tym czasie cały aparat propagandowy „igrzyskowców” mamił mieszkań-

ców projektami obiektów sportowych, perspektywą czystego powietrza czy wreszcie metra.

Miasto przedstawiało igrzyska jako środek na wszystkie bolączki, podkreślając te, które powodują szczególnie niezadowolenie mieszkańców, jak problem smogu. Stworzono fałszywą alternatywę: albo igrzyska, rozwój i skok cywilizacyjny, albo zastój inwestycyjny i miasto pełne korków i smogu. Tej fałszywej narracji Kraków Przeciw Igrzyskom przeciwstawiał się w mediach i podczas debat. Konsekwentnie, właściwie do znużenia, powtarzano wyniki badań naukowych wskazujących, że igrzyska wcale nie przyczyniają się do cywilizacyjnego skoku miast, lecz często, wręcz przeciwnie, powodują degradację niektórych ich obszarów – np. tam, gdzie zlokalizowane są nieużywane po samej imprezie potężne obiekty sportowe. Najgorsza jest jednak perspektywa zadłużenia miasta, które w efekcie samo, szukając oszczędności budżetowych, będzie likwidowało szkoły czy podwyższało ceny biletów komunikacji miejskiej.

## Samokompromitacja

Wszystko przyspieszyło, gdy doszło do prowokacji przeprowadzonej przez dziennikarzy lokalnego portalu. Osoby związane z komitetem organizacyjnym Kraków 2022 miały sugerować, że mogą płacić za przychylne mu teksty. Kosztowało to posłankę Jagnę Marczułajtis dymisję ze stano-

wiska szefowej komitetu, na którego czele stała wiceprezydentka Krakowa Magdalena Śroka.

Atmosfera wokół igrzysk gęstniała; w rezultacie radni zdecydowali jednak o przeprowadzeniu pierwszego w historii miasta referendum lokalnego. Mieszkańcy mieli odpowiedzieć na pytanie, czy chcą organizacji igrzysk.

Przed referendum miasto rozpoczęło kosztowną kampanię i zatrudniło specjalistów od wizerunku i komunikacji społecznej. Kraków zalały billboardy zachwalające igrzyska – mimo że miasto zgodnie z prawem nie mogło prowadzić kampanii za konkretnym rozstrzygnięciem w referendum. Pod koniec kampanii referendalnej „antyigrzyskowcom” pomogły ocierające się o śmieszność działania promocyjne komitetu organizacyjnego, jak postawienie na Rynku Głównym „namiotu sferycznego” czy ustawienie na Plantach dmuchanej bramki zliczającej rzekomych zwolenników igrzysk (każdy, kto przez nią przechodził, automatycznie był uznawany za przychylnego imprezie). To tylko napędziło rozmowę o niejasnych wydatkach komitetu, którego budżet pochodził ze środków publicznych. Wynik referendum był do przewidzenia już na kilka dni przed głosowaniem, o czym świadczyły także sondaże. 25 maja blisko 70% krakowian opowiedziało się przeciw organizacji igrzysk.

## Co dalej?

W Krakowie byliśmy świadkami wielkiej zmiany. Po raz pierwszy kwestia podnoszona przez aktywistów miejskich, dotycząca sprawy o decydującym znaczeniu dla kierunku rozwoju miasta, została rozstrzygnięta nie po myśli coraz bardziej oderwanej od potrzeb mieszkańców władzy. Dziś również w mediach i u innych lokalnych polityków można zauważyć przesunięcie akcentów. Kraków Przeciw Igrzyskom już odniósł sukces. Dziś mało kto mówi o wielkich inwestycjach, kojarzących się teraz głównie z horrendalnymi wydatkami, a wszyscy podnoszą postulaty poprawy jakości życia mieszkańców, czyli zwiększenia liczby przedszkoli, walki ze smogiem, polepszenia komunikacji miejskiej. Postulaty Krakowa Przeciw Igrzyskom stały się popularne, a politycy wciąż gają je do swoich programów.

Są wciąż i tacy, którzy żałują, że jednak igrzysk nie będzie. Nie otrzewia ich nawet to, że Ministerstwo Sportu żąda od Krakowa zwrotu dotacji na przygotowanie do organizacji igrzysk, a od szwajcarskiej firmy, która przygotowywała wniosek aplikacyjny, wciąż przychodzi faktury. Sami aktywiści z ruchu Kraków Przeciw Igrzyskom zdecydowali się wystartować w wyborach samorządowych, uznając, że z poziomu ruchów miejskich nie załatwi się wszystkich istotnych spraw miasta.

.....  
**Michał Wszolek – prawnik, publicysta, członek inicjatywy Kraków Przeciw Igrzyskom, działacz Partii Zieloni**

# Prawo do wody: opowieść o solidarności



**Marcelina Zawisza**

**Mieszkańcy Salonik wygrali walkę z Komisją Europejską i rządem przeciwko prywatyzacji wodociągów. 11 sierpnia 2014 r., na podstawie przeprowadzonego w maju referendum, grecki sąd uznał próbę prywatyzacji za nielegalną, a rząd wycofał się z pomysłu.**

Kiedy w maju, kilka dni przed pierwszym od 1974 r. referendum lokalnym, rozmawiałam z organizatorami, nastroje nie były najlepsze. Udało się co prawda połączyć dwie grupy mające różne pomysły na rozwiązanie problemu – Prawo do Wody oraz Inicjatywę 136, ale nadal brakowało wolontariuszy i um do głosowania. Do tego w ostatniej chwili, w związku z naciskami z centrali, dwóch burmistrzów z lewicowej partii PASOK wycofało swoje poparcie dla inicjatywy.

George Archontopoulos, przewodniczący związku zawodowego w przedsiębiorstwie wodno-kanalizacyjnym w Salonikach i lider grupy Prawo do Wody nadzieję na sukces upatrywał w terminie referendum. Zarządzone zostało w tym samym czasie co lokalne wybory. – *Najśmieszniejsze jest to, że nasi wolontariusze będą musieli stać przed lokalami. Władze nie pozwoliły nam skorzystać z infrastruktury wyborczej. Do tego miasto nie zgodziło się na reklamy na autobusach* – tłumaczył na ostatnim oficjalnym spotkaniu. Po-

mimo mnożących się trudności 18 maja prawie 220 tysięcy mieszkańców Salonik zagłosowało w referendum. Aż 98 proc. opowiedziało się przeciwko prywatyzacji.

## Dwie inicjatywy

Oficjalnie organizatorem referendum była Inicjatywa 136. Nazwa pochodzi od wylizców, które przeprowadzili członkowie grupy. Gdyby wszyscy mieszkańcy i mieszkańcy Salonik chcieli wykupić udziały w przedsiębiorstwie wodno-kanalizacyjnym, musieliby zapłacić dokładnie po 136 euro. Inicjatywę wsparła Fundacja Billa Gatesa, która zapewniła, że ci, których nie będzie stać na wykupienie udziałów, mogą liczyć na mikrokredyty na bardzo preferencyjnych warunkach.

Drugą organizacją zaangażowaną w obronę przedsiębiorstwa przed komercjalizacją była nieformalna grupa Prawo do Wody. Jej działacze domagają się, aby wodociągi pozostały całkowicie w rękach publicznych. Grupę współtworzą przede wszystkim związkowcy z firmy wodociągowej, lokalni aktywiści oraz była europarlamentarzystka Chrysoula Paliadeli. Kampania Prawo do Wody skupiała się przede wszystkim na informowaniu o negatywnych skutkach prywatyzacji. Ostrzegano m.in. przed wzrostem cen wody, ubytkami zasobów wodnych czy słabym utrzymaniem sieci wodociągowych.

## Komisja kontra obywatele

Co ciekawe, inicjatywa Prawo do Wody (Right2Water) jest pierw-

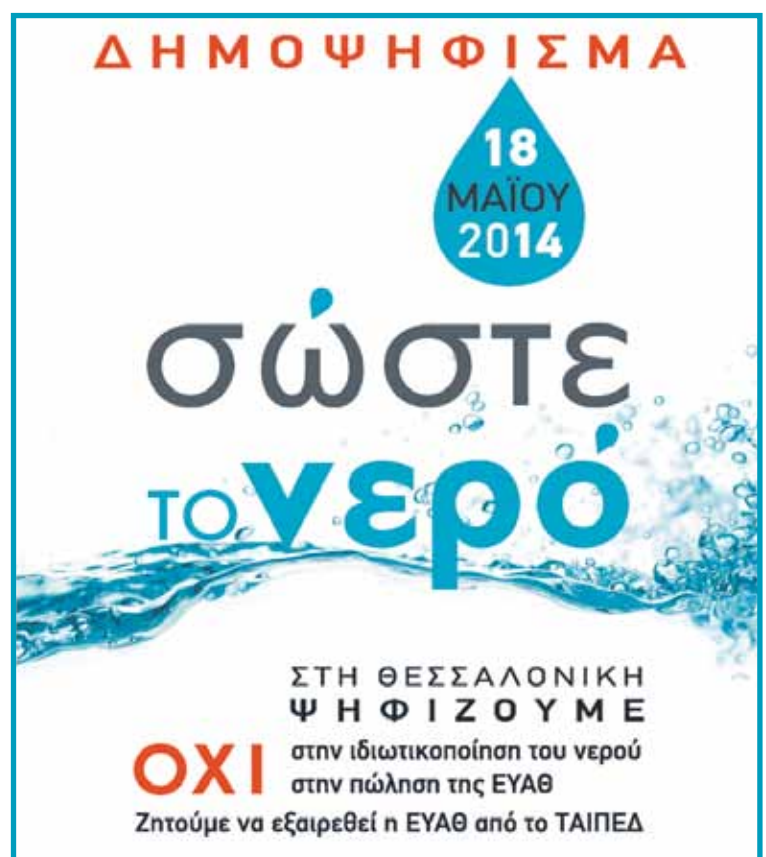
szą udaną Europejską Inicjatywą Obywatelską. Organizatorzy akcji wezwali Komisję Europejską do zapewnienia „możliwości korzystania z prawa do wody i infrastruktury sanitarnej, do wyłączenia zaopatrzenia w wodę i gospodarki zasobami wodnymi z przepisów rynku wewnętrznego i liberalizacji, a także do zwiększenia wysiłków mających na celu zagwarantowanie powszechnego dostępu do wody i infrastruktury sanitarnej na całym świecie”.

19 marca 2014 r. Komisja Europejska poparła te żądania. Ta sama Komisja Europejska naciskała na kraje najbardziej dotknięte kryzysem, aby sprywatyzowały przedsiębiorstwa wodociągowe. Mieszkańcy Grecji pokazali Komisji, że, podobnie jak prawie dwa miliony Europejczyków i Europejczyków, nie godzą się na ograniczanie im dostępu do wody.

## Solidarność ponad granicami

Europejska Federacja Związków Zawodowych Służb Publicznych pomogła zorganizować międzynarodową delegację niezależnych obserwatorów oraz organizowała akcje wspierające Prawo do Wody. Greckich aktywistów i aktywistki wspierali również działacze z Niemiec, Włoch i Hiszpanii.

Był wśród nich Claus Kittsteiner, współtwórca berlińskiego Wodnego Okrągłego Stołu. – *Kiedy walczaliśmy o rekomunalizację wodociągów w Berlinie, musieliśmy zbudować środowisko wokół tego tematu. Nazwaliliśmy je Wodnym Okrągłym Stołem. Jeden z członków naszej grupy był w Wenezueli i brał udział w obradach okrągłych stołów Cháveza, gdzie inżynierowie rozmawiali z burmistrzami i mieszkańcami, którzy nie chcieli prywatyzacji i wspólnie zastanawiali się, co mogą zrobić. To nas zainspirowało. Zaczęliśmy działać w 2005 r., ale Wodny*



*Okrągły Stół założyliśmy rok później. Walka trwała pięć lat, zebraliśmy 172 tysięcy podpisów w 3,7-milionowym mieście, musiało się udać – tłumaczy sukces Berlina Kittsteiner.*

Do Salonik zjechali również działacze z Włoch, którzy w 2010 r., zainspirowani sukcesem berlińskiego ruchu oporu przeciwko prywatyzacji, zorganizowali referendum, dzięki któremu udało się unieważnić ustawę o prywatyzacji. Co ciekawe, we wspólnej walce zjednoczyli się działacze lewicowi i prawicowi, co pozwoliło zebrać ponad 1,5 miliona podpisów. Do referendum poszło 57 proc. obywateli Włoch – aż 95 proc. opowiedziało się przeciwko prywatyzacji.

## Happy End

Po sukcesach odniesionych we własnych krajach, działacze i działaczki wspierali mieszkańców i mieszkańki Salonik. Wspólnym wysiłkiem udało się sprzeciwić Komisji Europejskiej, która przymuszała Grecję do prywatyzacji usług komunalnych. Wygląda więc na to, że fundacja Billa Gatesa nie będzie potrzebna – przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne Salonik pozostanie w rękach publicznych.

.....  
**Marcelina Zawisza – dziennikarka, aktywistka, działaczka Partii Zieloni**

# Przeciw igrzyskom, za lepszym miastem

**Tomasz Leśniak, kandydat na prezydenta Krakowa z ramienia komitetu Kraków Przeciw Igrzyskom, zdradza swoją wizję miasta w rozmowie z Bartłojem Kozkiem.**

**Bartłoj Kozek: Inicjatywa Kraków Przeciw Igrzyskom już w samej swojej nazwie ma sprzeciw – a więc program negatywny. Jestem ciekaw, jaki macie program pozytywny – tym bardziej, że w jej działania angażowały się osoby o różnych poglądach politycznych...**

**Tomasz Leśniak:** Opowiadając się przeciwko organizacji ZIO od początku wskazywaliśmy również konkretne, pozytywne cele, jak np. partycypacja mieszkańców w decydowaniu o kierunkach polityki miejskiej, która ostatecznie przyjęła postać referendum w sprawie ZIO.

Podkreślaliśmy, że miliardy złotych, które wydalibyśmy na igrzyska (same koszty organizacyjne oraz koszty obiektów sportowych i pozasportowych szacowano na około 7 mld zł), można przeznaczyć na inne, pozytywne społecznie cele. Z naszej perspektywy to właśnie igrzyska stanowiły swego rodzaju „program negatywny”, ponieważ miasta-organizatorzy często kończą je ze sporym zadłużeniem, które później przez lata spłacają mieszkańcy.

Jeśli powtórzyłyby się scenariusz z Soczi, Vancouver, Turynu czy Nagano, to po raz kolejny doświadczilibyśmy radykalnych cięć w usługach publicznych, a te uderzają przede wszystkim w naj-

uboższych i średniozamożnych, w uczniów, rodziców i pracowników oświaty. Wydatki oświatowe stanowią często największą część samorządowego budżetu, więc w obliczu problemów budżetowych politycy lokalni od nich zaczynają cięcia. Efektem takiej polityki jest dramatycznie pogłębiający się podział na szkoły elitarne i masowe, ale to już temat na inną rozmowę.

Nasze priorytety obejmują przede wszystkim silną edukację publiczną, aktywną politykę antysmogową, dostępny cenowo transport zbiorowy, profilaktykę zdrowotną i ład przestrzenny.

Chcemy również aktywnej polityki gospodarczej. W tej chwili podstawowym problemem Krakowa jest dominacja niskopłatnej pracy na zlecenie (a bywa, że „na czarno”) w turystyce i mało zaawansowany outsourcing. Chcemy postawić na tworzenie stabilnych miejsc pracy – przede wszystkim w sferze opieki i pozyskać środki unijne na rozwój sektora nowych technologii i IT. W tej chwili zapotrzebowanie na pracowników w tych branżach jest wyższe niż liczba absolwentów tutejszych uczelni.

Analizujemy też poszczególne dzielnice pod kątem poziomu bezrobocia – najpilniejszej interwencji wymagają Podgórze i Nowa Huta, gdzie najwięcej bezrobotnych przekroczyło 50. rok życia.

**BK: W jaki sposób przekonujecie mieszkanki i mieszkańców Krakowa do tego, że kwestie miejskie są polityczne? Obecne władze miasta, próbując zrobić**

**z Was grupkę roszczeniowych frustratów, usiłowały chyba przedstawić się jako technokratycznych ekspertów, znających jedynie słuszny sposób na rozwój miasta. W jaki sposób walczycie z taką narracją?**

**TL:** Niestety jesteśmy skutecznie zniechęceni do udziału w życiu politycznym.

Sami politycy robią to na dwa sposoby. Po pierwsze, politykę prezentują jako sferę zepsucia, korupcji i partyjnych gier. Często słyszymy, że wejście do polityki oznacza „ubrudzenie się” i w związku z tym działacze społeczni powinni ograniczyć się do kontrolowania rządzących. Druga metoda to prezentowanie polityki jako sfery, w której o poszczególnych decyzjach powinna decydować obiektywna, naukowa wiedza, którą dysponują nieliczni, tzw. zewnątrzni eksperci.

W obu przypadkach mamy do czynienia ze szkodliwymi mitami, których efektem jest niska frekwencja wyborcza i niski poziom zaangażowania w politykę instytucjonalną. Tymczasem to właśnie miejscy aktywiści posiadają wszystkie cechy i umiejętności, które powinny nadawać polityce ludzki kształt: zaangażowanie, umiejętność współpracy i dysponowanie wiedzą, która zakorzeniona jest w konkretnym kontekście społecznym. Bez takich ludzi w polityce trudno wyobrazić sobie zmianę jej oblicza.

**BK: Jakie konkretne alternatywy dla metra zaproponowałbyś**



foto. Kamila Buturla

**mieszkankom i mieszkańcom Krakowa? Rozwijałbyś podziemną sieć tramwajową? Budował nowe linie? Rozbudowywał ścieżki rowerowe?**

**TL:** Priorytetem będzie dalsza rozbudowa sieci tramwajowej, która powinna obsłużyć między innymi Azory, Górkę Narodową i Mistrzejowice. Równoległe będziemy budowali parkingi „Parkuj i jedź”, które ułatwiają kierowcom przesiadanie się do komfortowej komunikacji miejskiej. Niezbędne jest też uprzywilejowanie na skrzyżowaniach i systematyczna renowacja już istniejących tras, czyli działania umożliwiające przyspieszenie tramwaju.

Warto też wrócić do koncepcji premetra, czyli podziemnego tramwaju w centrum poza Plantami. Narzędzia te musi uzupełnić przyspieszenie inwestycji w infrastrukturę oraz budowa Szybkiej Kolei Aglomeracyjnej. Najbliższe lata to ostatnia szansa, by działania te w dużej części sfinansować ze środków unijnych. Rozważamy też kilka wariantów obniżki cen biletów jednorazowych, bo w tej chwili ich wysokość skutecznie odstrasza kierowców.

**BK: Z kwestią transportu – ale nie tylko, bo również warunków mieszkaniowych – powiązana jest kwestia jakości powietrza w Krakowie. Uważasz dotychczasowe działania, podjęte i zaplanowane w ramach walki ze smogiem przez samorząd miasta i województwa za wystarczające?**

Dane nie nastrajają optymistycznie. Zakaz palenia węglem w dziedzinie w Krakowie w życie w 2018 roku – choć ostatni wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego może odwrócić sprawę. Aby zlikwidować do tego czasu wszystkie paleniska węglowe, powinniśmy rocznie likwidować średnio ok. 8 tysięcy pieców.

Tymczasem w tym roku zlikwidowanych zostanie tylko 2 tysiące. Częściowo wynika to z opieszałości Miejskiego Przedsiębiorstwa Energii Ciepłej. Docierają do nas też sygnały, że Urząd Miasta Krakowa nie dociera z informacją o możliwości wymiany pieców, refundacji i dopłat do rachunków do osób wykluczonych. Na pewno potrzebna jest większa aktywność obu instytucji i stały monitoring sytuacji, gdyż może okazać się, że dopłaty do rachunków zostały ustalone na zbyt niskim poziomie.

## Czas na „dżęder”, czyli wybory samorządowe



**Iza Desperak**

Wybory samorządowe przed nami. Zieloni, ruchy miejskie i pozostali aktywiści i aktywistki mają szansę na małą zmianę świata na zasadzie „myśl globalnie – działaj lokalnie” – o ile będzie nas wystarczająco dużo. Dla polskich Zielonych i ich sojuszników z tej okazji mam nieco węższą niż globalną propozycję – w wyborach europejskich była to perspektywa Europy, na te wybory niech na początek wystarczy wizja zmiany naszego kraju. Jak to zrobić nie z parlamentu, ale z rady miasta czy gminy? To bardzo proste: postawić na gender, na równość kobiet i mężczyzn, na wrażliwość na płeć w lokalnej polityce.

Polityka równości płci czy wrażliwość na płeć to przede wszystkim budżetowanie genderowe, *gender budgeting*, nazywane też budżetem wrażliwym na płeć. Jak widać, słowo „gender” działające na niektórych jak płachta na byka, nie musi się wcale pojawić, o ile tego nie chcemy. Z drugiej strony słowo to wygrało konkurs na słowo roku w 2013, więc jego pojawienie się w kampanii może znaczenie zwiększyć zainteresowanie nią. Niezależnie od przyjętej terminologii to rozwiązanie powinno być równościowym programem minimum

wszystkich zielonych list i kandydatów. Budżet genderowy to instrument kluczowy dla wprowadzania w praktyce zasady równości kobiet i mężczyzn – a raczej pierwszy krok na tej drodze.

Dlaczego budżet miasta ma uwzględniać płeć? Bo wpływ procesów ekonomicznych na kobiety i mężczyzn się różni. Bo bez jej uwzględnienia na początku transformacji skonstatowaliśmy, że to kobiety poniosły większe jej koszty. Budżet uwzględniający płeć oznacza więcej niż zwiększenie środków na projekty na rzecz kobiet, ale także spojrzenie na cały budżet z kobiecego punktu widzenia, w celu przeanalizowania idących za nim konsekwencji dla mężczyzn i kobiet. Oznacza również ponowne zdefiniowanie priorytetów oraz zmianę podziału środków finansowych.

Zasadniczym założeniem budżetu wrażliwego na płeć jest przeprowadzenie diagnozy uwzględniającej potrzeby kobiet i wzięcie jej uwagę w planowaniu budżetu. Drogą do owej diagnozy jest próba usłyszenia głosów samych zainteresowanych.

Do dobrych praktyk w tym zakresie łączących zagadnienia równych szans kobiet i mężczyzn z jakością życia, jest wyznaczenie w urzędzie osoby odpowiedzialnej za politykę antydyskryminacyjną i równość płci. W Austrii obowiązkiem takich pełnomocniczek/pełnomocników

jest sporządzanie, przy wsparciu innych urzędniczek/ków i organizacji pozarządowych, raportów nt. wyrównywania szans kobiet i mężczyzn w okresie pięcioletnim. Do raportów takich niezbędne jest zbieranie danych z podziałem na płeć, jak również studiów przypadku i dobrych praktyk. W Polsce spotykamy czasem pełnomocniczki ds. równego traktowania na poziomie wojewódzkim, taką pełnomocniczkę ma też prezydentka miasta Łodzi, na razie nie mają one jednak takich kompetencji.

Równościowe podejście w kształtowaniu polityki miasta znajduje wyraz także w horyzontalnej polityce równości płci, która znalazła m.in. swoje odbicie w planowaniu wielu miast skandynawskich, gdzie rządzący za cel postawili sobie równy dostęp kobiet i mężczyzn do zasobów miejskich. Zaowocowało to poszerzeniem chodników, oświetleniem parków, inwestycjami w transport miejski oraz bezpieczne tereny zielone i prace zabaw. Analiza wydatków publicznych ze względu na płeć powinna – wedle autorki pierwszego gdańskiego projektu *gender budgeting* – obejmować zagadnienia analizę polityki makroekonomicznej, struktury wydatków i dochodów oraz kwestię efektywności usług publicznych, czyli czy sektor publiczny dostarcza niezbędnie usługi, które są dostosowane do potrzeb gospodarstw domowych i społeczności

lokalnych.

W *gender budgeting* uwzględnia się też:

- wydatki skierowane tylko do kobiet, czyli te, które wymieniają kobiety jako grupę bezpośrednich beneficjentów,
- analizę założeń i narzędzi polityki promującej równość płci w sektorze publicznym,
- wpływ strumieni i dochodów i wydatków publicznych na wyrównywanie szans kobiet i mężczyzn.

Gdańska inicjatywa budżetowania pod kątem płci rekomenduje też następujące działania:

- poprawę jakości statystyki publicznej, pozwalającą zbadać, kto i w jaki sposób korzysta z poszczególnych programów,
- aktywizację osób starszych z uwzględnieniem dysproporcji kobiet i mężczyzn,
- działania na rzecz osób starszych przez organizację czasu wolnego i ich zainteresowań,
- działania na rzecz aktywizacji osób starszych w sferze zawodowej,
- działania na rzecz kształcenia osób w wieku średnim i starszym,
- promocja zdrowia i to nie tylko wśród grup najstarszej ludności,
- unowocześnienie sieci domów seniora czy domów pomocy spo-

łecznej,

- zwalczanie długotrwałego bezrobocia,
- stworzenie nowych form współpracy i zwiększenie liczby programów adresowanych do kobiet,
- rozwiązanie problemu opieki nad dziećmi,
- prowadzenie zajęć szkolnych, jako jednej z form zapobiegania przyczynom nierówności,
- nowoczesna opieka instytucjonalna (nad dziećmi i osobami zależnymi).

Budżet genderowy jako wspólny postulat w wyborach to naprawdę świetny pomysł. Budżet genderowy to zazwyczaj budżet bardziej partycypacyjny, bo stworzony pod potrzeby mieszkanki i mieszkańców. Fala partycypacyjnych mniej lub bardziej budżetów obywatelskich rozlewająca się po kraju dowodzi, że potrzebujemy więcej partycypacji. Jednocześnie jak dotąd owe rozwiązania nie odzwierciedlają płci mieszkańców, i konieczna jest zmiana w tym kierunku – możemy zacząć od postulatu „udźwierzoniem” istniejących lub tworzonych budżetów obywatelskich, tak by służyły one na równi obywatelkom.

W imieniu autorki tej strategii „szeruję” i zachęcam do korzystania.

.....  
**Dr Iza Desperak – socjolożka, feministka; wykłada w Instyt. So-**

# Zrewitalizować rewitalizację



**Wojciech  
Kłosowski**

**O rewitalizacji powiedziano przez ostatnie lata tyle złego, że już chyba nie ma potrzeby dawać jej dodatkowo. Każdy z nas pewnie zna to w jakiejś wersji z własnego, bolesnego doświadczenia: uroczy miejski plac, onegdaj pełen zieleni, wśród której na ukrytych w cieniu ławeczkach całowały się od pokoleń kolejne młode pary, nie pesząc się wcale sąsiedztwem emerytów grających tuż obok w szachy. Dziś skwer jest „zrewitalizowany”, czyli wyłożony za unijne pieniądze cmentarnymi płytami szarego granitu z przysrubowanymi w karnych rządach ławkami rozsuniętymi co cztery metry, żeby nie dało się rozmawiać.**

## Dotknęliśmy dna

Gorzej już chyba być nie mogło. Kto lubi czarny humor, niech posłucha tej prawdziwej przygody z mojego życia zawodowego: kiedy cztery lata temu w jednym z miasteczek Lubelszczyzny próbowałem przekonać urzędnika miejskiego, że zabetonowanie ławek na sztywno, by nie dało się ich przestawiać, jest nieludzkie, bo uniemożliwia obywatelom przyjazne korzystanie z przestrzeni publicznej, widziałem na jego twarzy kompletny brak zrozumienia. „Jakby się pan czuł – próbowałem dalej – gdyby w pańskim domu ktoś przysrubował krzesła pod ścianami i nie dało się ich ustawić tam, gdzie wygodniej?” Znowu żadnego błysku w oku. Wreszcie postanowiłem się odwołać do języka unijno-urzędowego, licząc tu na szansę zrozumienia. „Czy pan wie – powiedziałem dobitnie – że uniemożliwiając ludziom siadanie blisko siebie w grupach, prowadzenie rozmów, nawiązywanie kontaktów, obniża pan kapitał społeczny swego miasta? Czy wie pan, że w interakcjach społecznych tworzy się najważniejsza część naszego kapitału ludzkiego i że ustawienie ławek uniemożliwiające normalny ludzki kontakt, godzi w ten kapitał?” W oku urzędnika pojawił się wreszcie błysk: „kapitał ludzki, mówisz pan?”. „No właśnie – przytaknąłem – nie tworzy się przez to kapitał ludzki”. Urzędnik oparł się wygodnie, z triumfalną miną zabębnił delikatnie palcami w blat biurka i odpowiedział delectując się każdym słowem: „Ale to było robione z »Infrastruktury i Środowiska«, a nie z »Kapitału Ludzkiego«. I jego twarz rozpromienił uśmiech. Jestem.

Ponura historia rewitalizacji w Polsce ma swoje pomniki niemal w każdym mieście. Przykładów tragicznych jest cała masa a przykładów dobrych, czy choćby poprawnych – bardzo mało. Rynek we Włocławku, Węgrowie, Kruszwicy i stu innych miastach w Polsce „zrewitalizowano” w podobny sposób na fali łapczywego i niepohamowanego przerabiania unijnych pieniędzy na pomniki bezmyślności urzędników i architektów. A przecież wiedza o tym, że rewitalizacja, to coś zupełnie innego, niż wykładanie placów kostką i malowanie elewacji kamienic w kolory odpustowych słodyczy, nie jest wiedzą nową. Gdy bodaj w 2005 roku przygotowywałem dla ówczesnego Ministerstwa Rozwoju Regionalnego ekspertyzę „Wymogi wobec Lokalnych Programów Rewitalizacji pod kątem ich zgodności z wymogami ZPORR”, pisałem w sposób nie pozostawiający miejsca na wątpliwości:

„Cele rewitalizacji są usytuowane w sferze społeczno-gospodarczej i ekologiczno-przestrzennej, a działania infrastrukturalne i architektoniczno-urbanistyczne są tym celom podporządkowane (mają charakter narzędziowy); nie jest więc rewitalizacją działanie wyłącznie remontowo-budowlane, które nie ma wskazanego celu społecznego, gospodarczego lub ekologiczno-przestrzennego”

Moja ekspertyza została przez ministerstwo opublikowana i miała bodajże uczulić panele eksperckie w poszczególnych województwach na to, by nie przyznawać unijnych pieniędzy z ówczesnego głównego źródła – Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego – na pseudo-rewitalizację w rodzaju brukowania włocławskiego rynku. Ale skutek był prawie żaden. Zarówno wówczas, jak i w latach 2007 – 2013 nadal wydawano pieniądze rewitalizacyjne na „rewitalizację” placów, ulic, torów kolejowych i cmentarzy.

Nie ma co szukać dziś winnych. Może po prostu przejście etapu dziecinnej choroby „rewitalizowania na opak” było nieuniknione. Może inaczej się nie dało. Winni są nie tylko zdezorientowani urzędnicy, niedouczeni decydenci, ale też cyniczni architekci i wykonawcy budowlani, którzy zarobili krocie na przerabianiu unijnych pieniędzy. Ma też co nieco na sumieniu stowarzyszenie Forum Rewitalizacji, które nagradzało niektóre pseudo-rewitalizacje jako przykłady udane. Być może i ja sam mogłem głośniejsz protestować, więcej publikować, nawołując samorządowców do mądrzejszego podejścia do rewitalizacji.

Ale mam też poczucie, że nasze ówczesne starania nie poszły na marne. Pojedyncze ważne projekty, wieloletnie działania Ewy Kipy na rzecz rewitalizacji lubelskiej dzielnicy Kośminek (uznane za „najlepszą praktykę” na konferencji „HABITAT II” w Istambule), prowadzona przez Arkadiusza Bogusławskiego rewitalizacja ul. Tkackiej w Zgierzu (nagroda TUP dla „najlepszej przestrzeni publicznej w Polsce), moje opracowanie LPR dla Piotrkowa Trybunalskiego, czy LPR Andreasa Billerta dla miasta Zory, to wszystko zmieniło powoli świadomość decydentów. Zauważono też wreszcie, że pseudo-rewitalizacje rynków i torów kolejowych przynoszą nie tylko straty pieniężne, ale czasami także generują jeszcze głębsze problemy społeczne (by przypomnieć tylko wstydliwą sprawę radomskiego getta mieszkańców wysiedlonych z rewitalizowanego Miasta Kazimierzowskiego).

## Powiew nowego

Na przełomie 2013 i 2014 roku coś się przełamało. Przy okazji prac nad Krajową Polityką Miejską i równoległe – Narodowym Planem Rewitalizacji, zwolennicy „rewitalizowania” po staremu po raz pierwszy nie zdominowali dyskusji. Przewagę uzyskały głosy tych, którzy chcieli wyraźnych zapisów definiujących rewitalizację jako naprawczą interwencję w kryzys społeczny a nie w bruk i budynki. Kiedy piszę ten tekst (pierwsza połowa września 2014, w projekcie Krajowej Polityki Miejskiej mamy następujący zapis:

„odnowa lub modernizacja techniczna obszarów i fragmentów przestrzeni publicznych jest środkiem, a nie celem rewitalizacji. Celami rewitalizacji są: odnowa społeczna, gospodarcza, przestrzenna oraz środowiskowa”.

Dalej mówi się o potrzebie działań zsynchronizowanych tak, by jednoczesna interwencja w kilku obszarach zwiększała skuteczność działań i ich efektywność, finansową. W KPM przytoczono przykłady takich „równoczesnych i spójnych działań”: łączenie opieki żłobkowej z aktywizacją zawodową rodziców z grup zagrożonych marginalizacją, czy synchronizowanie remontów z poprawą efektywności energetycznej budynków. To już zdecydowanie coś jakościowo innego niż brukowanie rynku we Włocławku.

Jeszcze dalej idą Wytyczne Narodowego Planu Rewitalizacji. Czytamy w nich:

„Konieczne jest angażowanie społeczeństwa i umożliwienie szerokiej

partycypacji w procesie przygotowania, a potem ich realizacji/wdrażania programów, partycypacja społeczna musi być wpisana w proces rewitalizacji jako fundament wielu działań.”

Oba wymienione dokumenty, kluczowe dla rewitalizacji w kolejnych latach, są właściwie całe napisane w takim duchu. Zapewne można się niepokoić, że to w obu przypadkach dokumenty bardzo ogólne, polityczne, a na poziomie wskazań wykonawczych wszystko się rozmyje i zostanie po staremu. Ale okazuje się że nie. Zupełnie świeże ministerialne wytyczne, a więc dokument jak najbardziej wykonawczy i konkretny (jeszcze o statusie projektu w wewnętrznych konsultacjach) głosi:

„[należy] przeciwdziałać fragmentacji działań (np. tak zwanej „rewitalizacji technicznej”, „rewitalizacji społecznej” – określeń błędnie stosowanych, ponieważ rewitalizacja jest zawsze kompleksowa) koncentrując uwagę na całościowym spojrzeniu na przyczyny kryzysu danego obszaru.”

Przykład Łodzi, gdzie rewitalizację zaczęto robić po nowemu już w sposób kompleksowy, powinien być zaraźliwy dla innych miast. Nie dlatego, że miasta chętnie sięgają po dobre przykłady. Wrocław, Gdańsk czy Poznań miałyby uczyć się od Łodzi? Aż taki naiwny nie jestem. Mechanizm będzie inny: po pierwsze w Łodzi powstaje w ramach Krajowej Polityki Miejskiej tak zwane Centrum Wiedzy o rewitalizacji, więc różne rozwiązania wypracowane tutaj staną się za chwilę oficjalnymi rekomendacjami dla każdego i będą lepiej czy gorzej kopiowane, jeśli nie z przekonania, to z lenistwa bądź z asekuranctwa, jako rozwiązania sprawdzone. Po drugie – Łódź ma szansę na rzeczywisty, spektakularny sukces, który może być na razie przegapiony przez Poznań czy Wrocław, ale na pewno będzie odnotowany przez miasta Europy i Świata, Po bankructwie Detroit oczekują one z utęsknieniem na jakiegokolwiek pozytywnie wieści z upadłych ośrodków przemysłu XIX i XX wieku. Łódź być może będzie dla miast świata takim posłańcem przynoszącym owe dobre wieści. Bo zamiast rewitalizować się po staremu, najpierw zabrała się za zrewitalizowanie samej rewitalizacji. I to może okazać się drogą do sukcesu.

.....  
**Wojciech Kłosowski – ekspert samorządowy, specjalista w dziedzinie planowania strategicznego, autor licznych programów i ekspertyz związanych z rewitalizacją miast.**

## Włocławek – Stary Rynek – przed i po rewitalizacji







fot. Hanna Gill-Piątek



**Jarosław Ogrodowski**

**Łódź była zawsze jakaś taka inna. Osobna, niepasująca do reszty kraju, do bólu nieromantyczna i pracowita. Co gorsza, jakoś nie potrafiła iść w zgodnej parze z dokonującymi się w kraju zmianami, najlepsze czasy mając zazwyczaj wtedy, gdy Polska przeżywała te najgorsze – i na odwrót. Nic więc dziwnego, że po 1989 z ulgą skazano miasto na zapomnienie, dając na otarcie łez cogodzinny pociąg do Warszawy, którym można było uciec szukając jakiegokolwiek przyszłości.**

#### Postępujący upadek

Upadł praktycznie cały łódzki przemysł, wypracowujący w najlepszych latach przed 1989 niemal 10% PKB całego kraju, nakazując niemal wszystkim mieszkańcom miasta poszukiwać zupełnie nowych dróg i pomysłów na swoje życie. Mieszkańcom – bo przecież łódzki przemysł był bardzo sfeminizowany, a przez to ostatni w kolejności do otrzymywania podwyżek, sutych odpraw czy programów osłonowych. Już nie dało się tak jak w 1971 wywalczyć obniżenia szalejących cen (a to był przecież jedyny udany strajk w całej historii PRL!), nie było też siły wyjść na ulice w wielotysięcznych marszach głodowych, jak w 1981. Trzeba było samodzielnie stanąć na nogi i samemu o siebie zadbać.

Mimo tej darmowej lekcji darwinizmu miasto przetrwało. Niestety, przetrwały też jego problemy, wielokrotnie złymi decyzjami podejmowanymi w przeszłości. Budowa wielkich osiedli-satelitów, odbiła się upadkiem śródmieścia, w którym jak w soczewce skupiły się problemy społeczne i infrastrukturalne. Przed 1989 inwestowano głównie poza centrum, po 1989 nie było już komu inwestować i za co. Zostaliśmy więc z kamienicami, z których trzy czwarte było w stanie złym albo bardzo złym, które rzadko kiedy były wyposażone w łazienkę a niemal nigdy w centralne ogrzewanie. O czym tu zresztą mówić, skoro nadal, u progu XXI wieku, spora część z nich wyposażona była w toalety znajdujące się na podwórzu.

Kto mógł, uciekał więc na zewnątrz, byle dalej od śródmieścia. Ci, co nie mogli albo z różnych powodów nie chcieli, musieli borykać się na co dzień z problemami, jakie idą za biedą, bezrobociem i brakiem nadziei na zmianę sytuacji na lepszą. Lata mijały i zdążyło wyrosnąć całe nowe pokolenie, które nigdy nie dowiedziało się czym jest stała praca i stała pensja. A jednak byli kreatywni. Kto nigdy nie widział tysiąca łódzkich sposobów jakimi można ocieplić mieszkanie, zbudować samemu toaletę czy przede wszystkim wyżywić całą rodzinę za

tysiąc złotych, ten powinien raczej spalić się ze wstydu, niż pleść o „bierności” czy „wyuczonych bezradności”.

#### Dojrzeła potrzeba zmiany

Powoli wzrastała też w łódzkiej społeczności mała warstewka młodych ludzi, którzy mieli lepszy kapitał społeczny i możliwość by czytać, uczyć się i krzyżeć, co dzieje się w mieście nie tak. Poznawali się powoli, wokół partyzanckich działań na rzecz przestrzeni, ratując trawnik, drzewo, kamienicę czy starą fabrykę. Uczyli się miasta, jego dróg i faktury, a niektórzy z nich zaczęli się także uczyć jego ludzi. Uczyli się zmiany – powolnej, mozolnej, nieefektywnej, ale skutecznej. Uczyli się jak tę zmianę powodować, jak naciskać, gdzie uderzać a gdzie wpływać. Niektórzy z nich postanowili iść do polityki, startując do rady miejskiej, inni postanowili działać z zewnątrz, przynosząc pomysły i próbując wciągnąć władze miasta do współpracy. Jeszcze inni postanowili po prostu wejść do środka i zmieniać miasto od wewnątrz, z pozycji urzędnika.

Kongres Ruchów Miejskich, który zjechał do Łodzi w 2012 zastał to miasto w momencie tranzytynym. Nie minęły jeszcze trzy lata odkąd odwołaliśmy Jerzego Kropiwnickiego, nie godząc się na życie w mieście trudnym i nieprzyjaznym, zorientowanym tylko na ogromne inwestycje, z których niewielu miałoby większy pożytek. Nowe władze miasta starały się rozmawiać i przyjmować dobre pomysły, takie jak remontowy program Mia100 Kamienic, ale jeszcze nie do końca wiedziały jak to zrobić. Brakowało zaufania i wspólnego języka, który dopiero się budował.

Obserwowałem te zmiany, walcząc na bardzo wielu frontach, nieraz tak od siebie odległych jak ochrona zabytków i miejski transport. Tym, co mnie jednak najbardziej wtedy nurtowało była kwestia wzajemnej komunikacji pomiędzy mieszkańcami a władzami oraz idącej za nią partycypacji w podejmowaniu decyzji o swoim otoczeniu i sobie samych. Uczylem się tego powoli na Księżym Młynie, gdzie w 2010 wszedłem w środowisko głęboko nieufne wobec władz miasta, które rękami wiceprezydenta Włodzimierza Tomaszewskiego zamierzały wszystkich mieszkańców zabytkowego robotniczego osiedla wysiedlić, a budynki sprzedać developerowi na zamknięte osiedle. Na szczęście nowe władze porzuciły te plany i chciały rozmawiać, godząc się na trudny dialog.

Przez tych kilka lat obserwowałem metamorfozę, jaka dokonywała się w łódzkim magistracie. Technokratyczny i mocno neoliberalny język nowych władz zmienił się, uwrażliwiając się na kwestie społeczne i jakości życia mieszkanki i mieszkańców. Metamorfoza ta wsparta była też analogicznymi zmianami na poziomie ministerialnym, gdzie niemal niezauważenie dokonano się przewrót

na miarę kopernikańskiego, a światło dzienne ujrzał projekt Krajowej Polityki Miejskiej który wyglądał tak, jakby ktoś bardzo uważnie wysłuchał wszystkich postulatów Kongresu Ruchów Miejskich, a następnie je usystematyzował, spisał i jednym szybkim ruchem postanowił za ich pomocą wbić osinowy kołek w serce polskiej „rewitalizacji” spod znaku kostki Bauma i wypędzenia wszelkiego życia z „rewitalizowanych” przestrzeni. Jednocześnie sam przesuwałem się wciąż i wciąż bliżej urzędu – najpierw z nim luźno współpracując przy różnych projektach, potem już ściśle przy okazji budżetu obywatelskiego, aż wreszcie przyjmując bilet na statek i w marcu tego roku zostając urzędnikiem, żeby robić rewitalizację przez duże „R”.

#### Wziąć sprawy w swoje ręce

To nie była łatwa decyzja. Wiedziałem, że powoli wyczerpałem wszystkie drogi, jakimi do tej pory wpływałem na miasto, a ta nowa dawała mi znacznie, znacznie więcej możliwości. Dawała mi możliwość budowania od samych podstaw, kreowania i wdrażania, a nie tylko konsultowania i recenzowania. Jednocześnie bałem się, bo podjęcie tak ogromnej odpowiedzialności nie mogło nastąpić ot tak sobie, od ręki. Szczególnie że postanowiono przed nami zadanie, o skali jakiego nigdy wcześniej nie mogliśmy nawet marzyć – przygotowania podwalin pod społeczny aspekt rewitalizacji i zrobienie tego jak najlepiej i jak najszybciej, bo już w połowie 2015 roku pojawią się naprawdę wielkie unijne pieniądze i trzeba je wydać mądrze, bo drugich takich już nigdy nie będzie.

Piszę „nas” i „nami”, bo nie podejmołem tej decyzji sam. Bilet był dwuosobowy, przeznaczony dla mnie i dla Hanny Gill-Piątek, osoby znacznie bardziej ode mnie kompetentnej w kwestiach społecznych, autorki „Biedy. Przewodnika dla dzieci”, prowadzącej do tej pory świetlicę Krytyki Politycznej w Łodzi. Sam bałbym się wziąć tak wiele, ale we dwoje było różnie – i w ten sposób 31 marca wsiedliśmy na statek o nazwie Urząd Miasta Łodzi, mając za zadanie „zrobić” tę rewitalizację. Zrobić ją z wykorzystaniem całego potencjału, jaki posiadamy w mieście – potencjału urzędników, przedsiębiorców, kreatywnych, artystek, animatorów, działaczek i działaczy organizacji pozarządowych, ale przede wszystkim mieszkanki i mieszkańców Łodzi. To dla nich ta robota i to oni są podmiotem, partnerem w zmianie. Partnerem a nie beneficjentem – zgoda ze strony władz miasta na takie ustalenie procesu była właśnie tym, co mnie przekonało.

.....  
Jarosław Ogrodowski – aktywista miejski, działacz ekologiczny i dziennikarz; od kilku miesięcy pracownik Biura ds. Rewitalizacji i Rozwoju Zabudowy Miasta w Urzędzie Miejskim w Łodzi.

## REWITALIZACJA W POLSCE

# Jest energia, są pieniądze, brakuje mądrej polityki



**Dr Andreas Billert (Berlin)**

Obserwacje dotychczasowych działań rewitalizacyjnych w Polsce oraz faktycznego stanu rzeczy na rewitalizowanych obszarach miast, każe przyznać, że na pokonanie powszechnie znanych problemów rozwoju miejskiego w Polsce kieruje się znaczącą uwagą i zaangażowaniem, a przede wszystkim niebagatelne środki finansowe. Oprócz strumieni pieniędzy płynących z kasy państwa i gmin oraz Unii Europejskiej, do nakładów ponoszonych na rzecz rozwiązywania problemów miejskich trzeba by zaliczyć również koszty pracy administracji, czas polityków, aktywistów społecznych i – może przede wszystkim – samych mieszkańców. Zarówno administracja, inicjatywy społeczne, jak i instytucje polityczne, wydają się przy tym nie tylko wykazywać faktyczną dobrą wolę, ale również praktycznie podejmują niebagatelne działania i inicjatywy na rzecz rewitalizacji.

Z drugiej strony wiemy, że pomimo tych wielorakich działań i zaangażowanych wysokich sum pieniędzy centra i stare dzielnice polskich miast, a więc ich obszary najbardziej wartościowe i najistotniejsze dla nowoczesnego rozwoju w XXI wieku, ulegają postępującej degradacji przestrzennej, budowlano-technicznej i społeczno-gospodarczej. Jest to zjawisko typowe dla praktycznie wszystkich miast polskich. Sięgnijmy tutaj do przykładu jednego z najbardziej znanych z nich, rodzinnego miasta jednego z najwybitniejszych uczonych wszech czasów, pomnika kultury wpisane na listę UNESCO i znaczącej atrakcji turystycznej – miasta Torunia. Na rozwój jego historycznego centrum skierowano w ostatnich latach setki milionów złotych z funduszy państwa, gminy i Unii Europejskiej. Dziesiątki, jeżeli nie setki przedstawicieli różnego szczebla administracji i zarządzania miastem pracowały intensywnie nad pozyskaniem i redystrybucją dla obszaru historycznego śródmieścia milionowych środków finansowych, liczne inicjatywy i grupy aktywistów społecznych toczyły liczne dyskusje nad problemami miasta i formułowały programy strategii dla partycypacji społecznej.

Nie jest tak, że skutków oddziaływania wspomnianych środków finansowych nie sposób dostrzec. Skutki te są doskonale widoczne. Pomimo to wspomniany obszar miejski ulega wciąż galopującej degradacji przestrzennej i społeczno-gospodarczej. Handel i usługi upadają, funkcje mieszkalne zanikają, pozostawiając po sobie pustostany, względnie są wypierane przez formy handlu i usług niekorzystne dla rozwoju tego obszaru (np. koncentrujące się tam nadmierne funkcje bankowe). Historyczne toruńskie Stare Miasto straciło też już dawno swą funkcję miejskiego centrum i stało się centralnie położoną peryferią miasta, której nienowoczesny charakter podkreśla zanik funkcji mieszkalnych, wysoka fluktuacja i konfliktowość funkcji handlowo-usługowych oraz ekcesywny rozwój trywialnych funkcji gastronomicznych. Niezwykle bogaty, unikalny i wielowarstwowy system wartości historyczno-kulturowych Starego Miasta w Toruniu miasta ulega równocześnie quasi-turystycznej trywializacji, redukowany zostaje do kilku symboli przekazywanych w skróconej formie mało wybrednemu masowemu turystyce i uczestnikom szkolnych wycieczek przez zmasowanych przewodników i lokalne pamiętkarstwo. Nie lepiej jest w innych miastach, a w ich centrach wszędzie źle.

Pozostaje postawić pytanie, o przyczyny powyższych problemów i zagrożeń polskich miast. Wbrew temu, co się często sądzi, ich przyczyną nie są problemy niedoboru środków finansowych. Dla rozwoju miasta znaczenie mają zarówno środki publiczne, które w ostatnich latach tak licznie płynęły do polskich miast, ale przede wszystkim środki prywatne. Nigdy nie płynęły one do polskich miast liczniej niż w ostatnich 25 latach i wyrażają się one sumą wszystkich kredytów i gotówki płynących z kieszeni prywatnych – dużych, międzynarodowych, ale i niezliczonych małych inwestorów na rynek nieruchomości, w tym przede wszystkim na rynek nieruchomości handlowo-usługowych oraz mieszkaniowych. Pieniądzy skutecznie finansujących rozwój miast w Polsce więc nie brakowało, tak jak nie brakowało zaangażowania mieszkańców, administracji publicznej oraz polityków.

Przyczyn kryzysu miejskiego szukać należy gdzie indziej: należy ich szukać w dotychczasowych błędach systemowej polityki państwa polskiego po transformacji: w braku – aż do teraz – polityki rozwoju miast, w słabej polityce rozwoju mieszkalnictwa, rynku pracy, „rynku” kultury i oświaty i w słabościach innych państwowych polityk istotnych dla rozwoju miast. Innymi słowy: **przyczyn dotychczasowej nieskuteczności rewitalizacji w Polsce trzeba szukać na poziomie uwarunkowań sprawności państwa, od którego zależy skuteczność działania środków finansowych oraz potencjałów i zasobów ludzkiej energii i kreatywności.**

.....  
Andreas Billert - wykładowca Uniwersytetu Viadrina, wybitny specjalista w dziedzinie rewitalizacji obszarów miejskich. Kierował licznymi rewitalizacjami w Niemczech i Polsce

# Miejskie rzeki kwiatów



**Dr Marta  
Jermaczek-  
Sitak**

Łąki i pastwiska to efekt współpracy człowieka z naturą. W ekologii mówi się o nich „ekosystemy półnaturalne” – dlatego, że złożone są z rodzimych gatunków, tworzących spontaniczne kompozycje, ale powstają i utrzymują się dzięki umiarkowanej gospodarce człowieka, takiej jak koszenie i wypas. Można powiedzieć, że leżą pomiędzy ekosystemami naturalnymi, takimi jak las, jezioro, torfowisko, a antropogenicznymi – jak pola uprawne i związane z nimi układy chwastów polnych.

Łąki i pastwiska – skojarzenia są jednoznaczne: dolina rzeki, wieś, może gdzieś w górach albo we wschodniej Polsce, pasące się krowy czy konie, sianokosy, kopki siana w jesiennej mgle... Ale łąki w mieście, wśród blokowisk, między ulicami? Trawniki, klomby – owszem, ale łąki?! Wydaje się, że to zupełnie nie jest ich miejsce. A jednak w miastach były i są łąki, a nawet pastwiska – i coraz więcej miast stawia na ich ochronę i odtwarzanie. Bo łąki w mieście pełnią wiele ważnych funkcji.

## Kwitające, szumiące...

Łąki przede wszystkim są piękne. O ile na trawniku ma rosnąć przede wszystkim trawa, a wszelkie inne gatunki to po prostu trawnikowe chwasty, które tępi się różnymi sposobami, łąka jest zawsze kolorowa i różnorodna. Potrzebuje koszenia, żeby nie zarosnąć ziołoroślami czy krzakami, ale nie co tydzień czy dwa, ale raz lub dwa razy w roku. Wtedy będzie na niej nie kilka gatunków roślin, ale nawet kilkadziesiąt. Ostatnio w niektórych miastach widać tendencję do nieco rzadszego koszenia trawników, chociaż może to wynikać po prostu z niższych nakładów finansowych na pielęgnację zieleni. Wtedy oprócz trawy na trawniku pojawiają się białe i różowe kwiaty koniczyzny, żółte brodawniki, stokrotki, mniszki, złocienie...



fot. Marta Jermaczek-Sitak



## Bioróżnorodność i zapylacze

Łąki w mieście to nie tylko kwestia estetyki. Na całym świecie powstają w ostatnim czasie projekty ochrony i odtwarzania łąk na terenie miast. Łąki powstają w Amsterdamie, Nowym Yorku, Berlinie czy Tokio. Niektóre z projektów skupia inicjatywę River of Flowers (<http://www.riverofflowers.org/>). Ludzie wysiewają nasiona dzikich kwiatów w parkach, na osiedlach, a nawet na przystankach autobusowych albo dachach budynków... Oprócz poprawy krajobrazu i jednoczenia

lokalnych społeczności wokół łąkowych inicjatyw, łąki poprawiają miejski klimat, ale przede wszystkim zwiększają różnorodność biologiczną w miejskim ekosystemie, dzięki czemu jest on bardziej stabilny i bardziej odporny na niekorzystne czynniki.

Trend zakładania miejskich łąk zbiega się z powrotem tradycji miejskich ogrodów – nie tylko w kompleksach ogródków działkowych, ale coraz częściej także na osiedlach, na balkonach i dachach. Okazuje się, że jednym z problemów miejskich ogrodników jest brak owadów zapylających, które w mieście,

wśród betonu i równo przystrzyżonych trawników, nie mają bazy pokarmowej. Właśnie dla zapylaczy, m.in. dzikich pszczół, buduje się też w miastach specjalne domki z gliny, drewna, trzciny czy porowatych cegieł. Problem wymierania pszczół dotyczy obecnie niemal całego świata, a szczególnie terenów o dużym uprzemysłowieniu rolnictwa oraz terenów zurbanizowanych. Łąki w mieście to wsparcie dla owadów zapylających, bez których upadłoby światowe rolnictwo.

## Zamiast chaszcy i śmieci

Prawie każde miasto położone nad rzeką ma takie tereny – dzikie, niedostępne, często zaśmiecone, zarosnięte, gdzieś na międzywałach, na terenie zalewowym... Odwiedzają je bezdomni, czasem wędkarze. Ogólnie przyroda lubi takie miejsca, enklawy spokoju w środku miasta. Jednak bywa, że te zaniebane miejsca zarosnięte są przez kilka obcych, inwazyjnych gatunków zawleczonych przez człowieka i nie mają wiele wspólnego z naturalnymi czy półnaturalnymi ekosystemami. Nawłoc, przymiotno, klon jesionolistny to bardzo ekspansywne rośliny, pod którymi nie ma wiele miejsca na jakiegokolwiek inne gatunki, trudno też w tak ubogim środowisku mówić o różnorodności owadów czy ptaków.

Rewitalizacja takich miejsc powinna uwzględniać zarówno potrzeby rekreacyjne mieszkańców miasta, jak i zachowanie lub zwiększenie różnorodności biologicznej ekosystemu miejskiego. Rzeki to korytarze migracyjne wielu gatunków, dla których miasto zawsze jest dużą barierą – właściwe zagospodarowanie terenów nadrzecznych pozwala zminimalizować jego negatywne działanie. Jak mogłyby wyglądać tereny nad rzeką, gdzie przyroda spotyka się z człowiekiem? Optymalny wydaje się półotwarty krajobraz, gdzie oprócz lasów łęgowych, zarośli i tzw. elementów kultury materialnej znajdzie się miejsce na otwarte przestrzenie łąk. Badania wykazują, że właśnie taki mozaikowy krajobraz jest nie tylko korzystny dla wielu gatunków zwierząt, ale również okazuje się atrakcyjny

dla człowieka – dobrze wpływa na psychikę, regeneruje siły, pozwala wypocząć.

## Łąki od zera

Żeby przywrócić łąkę na jakimś terenie, najlepiej po prostu zacząć go kosić – nie za często, zwykle raz czy dwa razy w roku, jeśli jest dużo gatunków inwazyjnych, to przez pierwsze lata można częściej. Ale bywa tak, że teren, na którym chcemy odtworzyć łąkę, jest już zbyt mocno przekształcony – gatunki inwazyjne zagłuszają wszystko, co tylko próbuje wykiełkować, gleba jest zdegradowana i zanieczyszczona, a w glebowym banku nasion nie ma już gatunków łąkowych.

Wtedy można próbować odtworzyć łąkę bardziej radykalnymi metodami. Nasiona dzikich kwiatów łąkowych można zebrać na dobrze zachowanych, bogatych gatunkowo łąkach – im bliżej znajdują się łąki źródłowe, tym lepiej. Następnie wysiewa się je na powierzchniach odtwarzanych. Jednak wcześniej należy przygotować glebę – czasem wystarczy orka i bronowanie, jednak jeśli wierzchnia warstwa gleby jest zbyt zanieczyszczona, konieczne może się okazać zerwanie jej ciężkim sprzętem i wywiezienie.

W tym roku w Warszawie wystartował projekt pt. „Restytucja łąk zalewowych na warszawskim odcinku OSOP Natura 2000 Dolina Śródkowej Wisły (PLB 140004)”. Realizuje go miasto we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim. W ramach projektu odtwarzane będzie kilkadziesiąt hektarów nadwiślańskich łąk, m.in. na Gołędzinowie, Goławiu, Wilanowie, Żeraniu. Nasiona dzikich kwiatów będą pochodziły z łąk nad Pilicą, Bugiem i Narwią. Jest szansa, że za kilka lat będziemy cieszyć się w Warszawie pięknym kwitających łąk zalewowych, na którymi zaroi się od dzikich zapylaczy, pojawi się więcej gatunków ptaków, owadów, a także... ludzi, mieszkańców miasta.

.....  
**Marta Jermaczek-Sitak – doktor ekologii, botanik, specjalizuje się w ekologii łąk i pastwisk oraz problemach ich ochrony. Aktualnie pracuje na Uniwersytecie Warszawskim w projekcie odtwarzania nadwiślańskich łąk zalewowych.**

[www.kurazdoktorarem.blogspot.com](http://www.kurazdoktorarem.blogspot.com).



**Piotr  
Trzaskowski**

Rolnictwo Wspierane przez Społeczność to alternatywa dla tych, którzy chcą wiedzieć, skąd pochodzi ich żywność, a zarazem sposób na bezpośredni kontakt między miastem i wsią. Czy okaże się panaceum na problemy polskiego rolnictwa?

Na początku sezonu rolnicy i konsumenci wspólnie ustalają, na jakich zasadach będą współpracować. Później zapisują to w umowie, która mówi, co uprawiać, jak produkty dostarczać i ile to będzie kosztowało. Budżet jest przejrzysty, więc od razu wiadomo, ile rolnik wyda na nasiona i maszyny, a ile zostanie mu w kieszeni. Później co tydzień wazywa przyjeżdżają do miasta, a tam dzielone są pomiędzy odbiorców. Po równo lub w dwóch wersjach: paczka mała lub duża. Nie ma indywidualnych zamówień. Cieszy się tym, co właśnie urosło i jeszcze tego samego dnia było zebrane z pola. Nie ma też obrotu gotówką, gdyż płacimy z góry za cały sezon

# Rolnictwo wspierane przez społeczność

lub w ratach. Cały dochód idzie prosto do rolnika, pomijając wszelkich pośredników.

Tak od dwóch lat działa w Warszawie pierwsza w Polsce grupa Rolnictwa Wspieranego przez Społeczność (ang. Community Supported Agriculture) – RWS Świerże Panki. W 2014 r. wystartowały 3 kolejne – w Poznaniu, Szczecinie i Warszawie.

Rolników do RWS-u przyciąga pewność zbytu. Już na początku sezonu wiedzą, jak dużo sprzedadzą i za ile. Nie muszą też tracić czasu na reklamę i dystrybucję w skupach lub na bazarach. Odpada też pakowanie, gdyż odbiorcy przychodzą z własnymi siatkami i sami odważają produkty. Początkowe wpłaty nie podlegają zwrotowi, więc w razie niepogody gospodarstwo nie splajtuje. Właśnie to przeniesienie części ryzyka na konsumentów lub innymi słowy wzięcie przez nich odpowiedzialności za gospodarstwo leży u podstaw modelu RWS. Takie zawierzenie

rolnikom wymaga dużo zaufania, dlatego im więcej rolnicy dbają o swoich konsumentów – spotykają się z nimi, opowiadają o tajnikach uprawy i problemach życia na wsi – tym RWS działa lepiej.

Uczestnikom RWS-u podoba się możliwość zakupu żywności z pewnego źródła, czyli od rolnika, którego znają i z gospodarstwa, które widzieli. Niektóre RWS-y zachęcają uczestników do przyjazdu do gospodarstwa i pomocy w jego pracach. Liczy się też cena. Dzięki opłacie z góry, grupowemu zamówieniu i pominięciu pakowania – jest taniej. RWS pokazuje, że nieprzetworzona żywność ekologiczna nie musi być delikatesem dla wybranych. Jednak od odbiorców wymaga dostosowania ich sposobu konsumpcji do sezonowości zbiorów oraz regularnego zajmowania się gotowaniem.

W Europie najwięcej RWS-ów jest we Francji, gdzie zwane są AMAP (fr. Association pour le maintien de l'agriculture paysanne). Do-

starczają tam jedzenie dla przeszło 300 tysięcy odbiorców. Ruch dotarł też na wschód kontynentu. To właśnie na przykładzie grupy z czeskiej Pragi (cz. Komunitou podporované zemědělství) wzorował się pierwszy polski RWS.

Systematyczny wzrost liczby RWS-ów w Europie udowadnia, że kontakt między miastem i wsią nie musi być za pośrednictwem przez supermarkety. RWS nie jest jedynym przejawem ruchu zbliżenia tych dwóch światów. Pączkujące w Polsce kooperatywy spożywcze, rynki lokalne, komercyjne „paczki od rolnika” i ogródki społecznościowe wszystkie zbudowane są na rosnącym zrozumieniu roli żywności w zdrowym życiu, świadomości znaczenia rolnictwa dla dobrego stanu środowiska naturalnego, a także potrzebie poznania pochodzenia naszego jedzenia i jego drogi na nasze stoły.

RWS to obiecująca inicjatywa, ale nie ma co się łudzić, że jest panaceum na problemy polskiego rol-

nictwa. Nie zbudujemy grup RWS dla wszystkich 1,5 miliona rolników. Nie wszyscy konsumenci zgodzą się na przedpłaty i rezygnację z komfortu wyboru egzotycznych produktów. Zarządzenie eksodusowi ze wsi i transformacji rolnictwa rodzinnego w przemysłowe wymaga dużo więcej niż RWS i podobne przedsięwzięcia. Wymaga aktywnej polityki publicznej. Polityki, która ograniczy rynkową dominację sieci handlowych, zmniejszy udział chemii w produkcji żywności i wesprze niewielkie gospodarstwa ekologiczne. RWS jest krokiem w tę stronę, gdyż nie tylko dostarcza nam zdrową żywność, ale także buduje przekonanie, że za rolnictwo w Polsce odpowiedzialni jesteśmy wszyscy, i rolnicy, i konsumenci.

.....  
**Piotr Trzaskowski działa w Warszawskiej Kooperatywie Spożywczej i wspiera tworzenie grup opartych o zasady rolnictwa wspieranego przez społeczność.**

Dr Krzysztof  
HermanMaciej  
Kassner

# Dokąd zmierza miejskie ogrodnictwo?

Coraz częściej mówi się o potrzebie popularyzacji miejskiego ogrodnictwa w dużych polskich miastach. Niedawno w Poznaniu odbył się pierwszy międzynarodowy zjazd twórców ogrodów społecznościowych, podczas którego swoimi doświadczeniami dzielili się goście z Katowic, Łodzi, Warszawy, Pragi, Barcelony i Gandawy. Idei ogrodnictwa miejskiego poświęcony był panel dyskusyjny w ramach „Wczasów Ekonomicznych” na Zielonym Jazdowie, podczas którego o problemach miejskich ogrodników debatowali Maciej Łepkowski, współorganizator „Wczasów Ekonomicznych” i członek Partii Zieloni, Krzysztof Herman z Katedry Sztuki Krajobrazu SGGW, Katarzyna Bruszezewska, członkini międzynarodowego zespołu badającego rolnictwo miejskie COST, oraz Sebastian Żółnowski, warszawski twórca ogrodów wspólnotowych z Fundacji Mieszadło.

Choć w Polsce ruch ogrodnictwa miejskiego dopiero zyskuje na popularności, to w wielu zachodnich metropoliach ogrody miejskie uznawane są za ważną część zurbanizowanego krajobrazu. W Niemczech popularną formułą jest ogród wspólnotowy, uprawiany przez członków społeczności ogrodników. Do najbardziej znanych ogrodów należy berliński Prinzessingarten oraz AK Campusgarten w Kolonii, z którego może korzystać społeczność uniwersytecka wspólnie z okolicznymi mieszkańcami. Zdaniem Katarzyny Bruszezewskiej, która badała niemieckie ogrody wspólnotowe, zainteresowanie ogrodnictwem miejskim wynika z wysokiej świadomości ekologicznej Niemców. Konsumenci skłonni są płacić więcej za lokalne warzywa i owoce, rodzice zaś wykorzystują ogrody do przekazania dzieciom podstawowych informacji na temat zasad uprawy ziemi. Wszyscy korzystają z możliwości wypoczynku na łonie natury.

Popularne w Niemczech, Stanach Zjednoczonych czy Australii ogrody nie są bynajmniej jedyną formą kultywacji ziemi na terenach miejskich. Ogródnictwo miejskie niejedno ma imię. Sporna jest już sama nazwa. Mówiąc o ogrodnictwie zwykle prezentujemy rekreacyjny lub ozdobny aspekt upraw roślin w mieście. Ale są tacy, którzy w ogrodnictwie i rolnictwie miejskim upatrują realnej alternatywy. Sebastian Żółnowski, twórca dwóch ogrodów miejskich w Warszawie, deklaruje, że przyświeca mu utopijna wizja miasta samowystarczalnego żywnościowo. Priorytetem jest dla niego produkcja żywności, tak aby w przyszłości jego ogrody mogły zaopatrywać szeroką grupę osób wspólnie pracujących w ogrodzie w świeże, wartościowe i lokalne produkty. Jak tłumaczy Maciej Łepkowski, chodzi o to, aby mieszkańcy miast łączyli pracę zawodową z produkcją żywności, stając się rolnikami na pół etatu. Z tego punktu widzenia bardziej adekwatna wydaje się nazwa „rolnictwo miejskie”.

Pomysł ten nie jest bynajmniej absurdalny. W 1993 roku ok. 15 % światowej produkcji rolnej po-



fot. Krzysztof Herman

chodziło z farm znajdujących się na terenach miejskich, w roku 2005 – już około 30%. Zdaniem Macieja Łepkowskiego, w przyszłości liczba ta ulegnie zwiększeniu. Rolnictwo przemysłowe zużywa bowiem ogromne ilości wody i ropy naftowej, a ponadto uzyskane plony trzeba magazynować oraz dostarczać do odległych rynków zbytu, co znacznie podwyższa koszty. W obliczu nadchodzącego kryzysu surowcowego realną alternatywą staje się uprawa ziemi na skalę lokalną. Dziś ponad 50 % światowej populacji żyje w miastach, w 2050 roku ten wskaźnik według wielu szacunków wzrośnie do ok. 70-75 %. Dlatego to właśnie miasta będą musiały przejąć część odpowiedzialności za wyżywienie swoich mieszkańców.

## Oblicza rolnictwa miejskiego

Bardziej pogłębiona analiza pokazuje, że rolnictwo miejskie jest fenomenem niejednorodnym. Oznacza ono co innego na globalnej Północy i na globalnym Południu. Rolnictwem miejskim zajmuje się nie tylko zamożna i wykształcona klasa średnia, ale również ludzie, których do kultywacji ziemi zmusiła katastrofa ekonomiczna i związane z nią widmo niedostatku. Obok uprawianych tradycyjnie przydomowych ogrodów użytkowych istnieje też miejskie rolnictwo przemysłowe, wykorzystujące nowoczesną technologię i produkujące żywność na skalę masową. Przyjrzyjmy się zatem różnym obliczom rolnictwa miejskiego we współczesnym świecie.

Szacuje się, że ok. 800 milionów ludzi pracuje dziś w farmach miejskich i podmiejskich (UPA – urban and peri-urban agriculture). Zgodnie z danymi International Development Research Center, na terenie wielkiej aglomeracji Bangkoku 60% terenów podlega aktualnie kultywacji, w której bierze udział 72% rodzin, natomiast w Kampali 30% miejskiej popula-

cji uprawia 50% terenów miejskich, produkując 70% drobiu i jajek spożywanych w mieście. W tych rozwijających się, rosnących ośrodkach podmiejskie tereny rolnicze są wchłaniane przez aglomeracje. W ich centrach dominują małe, rozproszone uprawy przydomowe, na dachach i tarasach, zapewniające częściową niezależność żywieniową pojedynczym rodzinom. Natomiast na obszarach podmiejskich farmy są większe, nastawione na przemysłową produkcję, a zarazem zagrożone presją urbanistyczną.

W miastach o bardzo dużej gęstości zabudowy miejsca dla upraw poszukuje się na dachach (m.in. Brooklyn Grange czy Gotham Greens w Nowym Jorku), w poprzemysłowych budynkach (Urban Organics w budynku starego browaru w St. Paul, Minneapolis) a nawet pod ziemią (Pasona O2 w Tokio). W Singapurze, mikroskopijnym kraju, w którym ok. 93% żywności pochodzi z importu, postawiono na farmy wertykalne – takie jak Sky Green, gdzie warzywa rosną na 9-metrowych konstrukcjach przypominających wielkie drabiny.

Te współczesne farmy i ogrody miejskie rozwijają się dzięki nowoczesnym systemom upraw, takim jak hydroponika, aeroponika oraz aquaponika. Ten ostatni pozwala na równoczesną uprawę roślin oraz hodowlę ryb w zamkniętym cyklu produkcyjnym. Produkcja roślin w tych zbiornikach nie wymaga podłoża, gleby – odbywa się w substracie wodnym lub poprzez spryskiwanie korzeni aerozolem, jest też wysoce skomputeryzowana, prowadzona w szklarniach (w całkowicie kontrolowanym środowisku). Wzrastają w nich głównie warzywa i zioła liściowe – sałata, jarmuż, bazylija, kapusta chińska, ale także m.in. pomidory. Obiekty takie jak Grandpa Dome w Yokohamie są skrajnie technologicznym pomysłem na miejskie uprawy, radykalnie odmiennym zarówno od rolnictwa wielkoobszarowego, jak upraw przydomowych.

Ale miasta Globalnej Północy to także ośrodki kurczące się, takie jak Lipsk czy Detroit. W przypadku tego ostatniego, często przywoływanego jako przykład, miejskie uprawy, w tym ogrody społecznościowe, stały się częściową odpowiedzią na problemy związane z kryzysem ekonomicznym i recesją na rynku pracy. Co więcej, po pewnym czasie okazało się, że farmy miejskie założone na opustoszałych działkach przedmieści Detroit zaczęły przyciągać także młodych ludzi z innych miast, którzy poszukiwali zmiany stylu życia. Okazuje się, że ogrodnictwo i rolnictwo miejskie zaczyna być postrzegane przez wielu mieszkańców krajów rozwiniętych jako istotny element życia w mieście. W artykule „Farmy miejskie – przedsięwzięcia wspomagające zrównoważony rozwój miast” Anna Palej przytacza badania, według których 6,7 miliona mieszkańców miast w USA zadeklarowało chęć korzystania ze wspólnych ogrodów uprawnych organizowanych dla ludzi z sąsiedztwa, gdyby mieli do nich dostęp. W Toronto natomiast na popularności zyskuje tzw. „backyard sharing” – system wspomagany przez urząd miasta, który pozwala osobom posiadającym ogrody przydomowe, działki czy inną ziemię w mieście udostępnić ją innym – tym, którzy czują się na siłach ją uprawiać.

## Uprawa ziemi w polskich miastach

Czy rolnictwo miejskie ma szansę w Polsce? Nie da się zaprzeczyć, że warunki ku temu istnieją. Jak wskazała Katarzyna Bruszezewska, zgodnie z zapisami Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego polskich miast wojewódzkich, mamy w ich granicach bardzo dużą powierzchnię obszarów rolnych (sięgającą ok. 50% całości powierzchni miasta w Krakowie). Zdarza się też, że w obrębie polskich miast zachowały się zabudowania wiejskie, czego przykładem jest warszawska wieś

Potok znajdująca się w sąsiedztwie Metra Wilanowska. Tereny te, choć nie zawsze wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem, powinny tworzyć potencjalne zaplecze dla rozwoju ogrodów wspólnotowych i farm miejskich. W Polsce istnieje także około miliona ogródków działkowych, co pozwala szacować całkowitą liczbę osób związanych z ROD na 3-4 miliony. Protesty przeciwko planom likwidacji ogródków działkowych w Warszawie pokazały, że jest to społeczność gotowa aktywnie wystąpić w obronie ziemi, którą kultywują.

Władze polskich miast bardzo różnie podchodzą do idei uprawy ziemi w mieście. W swoich badaniach Katarzyna Bruszezewska przeanalizowała, jak problem ten postanowiły rozwiązać władze Poznania, Torunia i Warszawy. W planach strategicznych dla Torunia przewidziano pozostawienie zarówno ziem przeznaczonych pod uprawę, jak i ogródków działkowych. Poznań planuje zlikwidować użytki rolne, zachowując jednak ogrody miejskie. Najgorzej wygląda sytuacja w Warszawie. Stołeczny Ratusz, co zapisane jest we wspomnianym Studium, nie widzi potrzeby istnienia użytków rolnych i ogródków działkowych na terenie stolicy. Jedyna zieleń, którą stołeczni władze są skłonni zaakceptować w obrębie miasta, to zieleń urzędowa, czyli miejskie parki i skwery.

Uprawa ziemi w mieście daje jego mieszkańcom wymierne korzyści: lokalną żywność, przestrzeń do rekreacji i sposobność zaznajomienia się z technikami produkcji stosowanymi w rolnictwie. Istnienie terenów zielonych (w tym ogrodów działkowych czy obszarów rolnych) w obrębie miast tworzy naturalne kanały nawietrzające i zapobiega powstawaniu smogu. Sukces ogrodnictwa miejskiego w Polsce zależy od zainteresowania mieszkańców i przychylniej postawy władz poszczególnych miast. Już dzisiaj możemy obserwować odrodzenie mody na uprawę ziemi w mieście, czego dowodem jest rozwijający się ruch na rzecz ogrodnictwa miejskiego oraz powstające w największych miastach ogrody społecznościowe. Niestety, postawa władz miejskich często pozostawia wiele do życzenia. Politykom i urzędnikom nowoczesne miasto wciąż kojarzy się z trasami szybkiego ruchu i pnącymi się w niebo szklanymi wieżowcami. Rolnictwo miejskie kwestionuje dychotomiczny podział na wieś, będącą miejscem produkcji żywności, oraz miasto, które jest przestrzenią rozwoju przemysłu i rzemiosła. Tym samym podważa ono idee miejskości, która dominuje w naszej kulturze od czasu rewolucji przemysłowej. Dalszy rozwój rolnictwa miejskiego w Polsce zależy od tego, czy władze polskich miast zdołają wyzwolić się ze stereotypowych wyobrażeń i dostrzec liczne korzyści, jakie niesie ze sobą kultywowanie ziemi w mieście.

.....  
**Maciej Kassner - absolwent warszawskiej politologii, pasjonat badań nad historią myśli politycznej, członek Partii Zielonych. Współredaguje bloga „Zielona Warszawa”.**

.....  
**Krzysztof Herman – dr inż., adiunkt w Katedrze Sztuki Krajobrazu SGGW, prezes Mazowieckiego Oddziału Stowarzyszenia Polskich Architektów Krajobrazu.**



**Wioleta  
Krysiak**

Praca od 10.00 do 18.00 – nie wchodzi w grę, może od 6.00 – też nie dasz rady, szkoła w weekend – chyba żartujesz. Nie masz samochodu – sama jesteś sobie winna. I tak ciesz się, że masz te kilka autobusów, mogło być gorzej.

#### Jak to u mnie było

Bolimów to gminna wieś w województwie łódzkim, przypomina trochę małe miasteczko. Pozornie bez trudu można zaspokoić podstawowe potrzeby: zrobić zakupy, iść do lekarza, ukończyć szkołę.

Jednak, aby znaleźć pracę, odwiedzić specjalistkę, zdecydować się na inną szkołę – trzeba się stąd wydostać.

I tu pojawia się problem – komunikacja zbiorowa jest na tragicznym poziomie. Autobusy zostały dopasowane do godzin szkolnych, dlatego nie uświadczysz żadnego wczesnego rankiem czy wieczorem. Taki model uniemożliwia np. dojazdy do pracy, a co za tym idzie, odcina wielu osobom możliwość jej zdobycia. W weekendy jest jeszcze gorzej, nie ma żadnych połączeń.

Sytuacja gminnej miejscowości jest i tak komfortowa, niektóre wioski pozbawione są całkowicie dostępu do komunikacji zbiorowej. Czasami trzeba pokonać kilka kilometrów, aby dojść do najbliższego przystanku autobusowego. Praktycznie nie istnieje też połączenie między mniejszymi wsiami a wspomnianym Bolimowem. Odwiedzenie urzędu gminy czy wizyta u lekarza to często duży problem, szczególnie dla starszych osób.

#### To się nie opłaca

To krótki opis tylko jednej gminy, jednak ta sytuacja dotyczy całego kraju. Komunikacja zbiorowa w małych ośrodkach praktycznie nie istnieje. Od kiedy zaczęła się liczyć „opłacalność”, ceny zaczęły rosnąć, a liczba połączeń spadać. A przecież komunikacja publiczna nie służy do przynoszenia zysku, ma ona zaspokajać potrzeby.

Spółki PKS przynoszą straty, nie jest to żadną tajemnicą. Rolą samorządów powinno być takie ich finansowanie, aby nie dochodziło do likwidowania połączeń. Posługując



fol. Marcin Wrzos

## Miejscowość daleko od szosy

się neoliberalnym językiem – jest to inwestycja w przyszłość. Prof. Zbigniew Taylor w swoich badaniach wskazuje na konsekwencje odcięcia od komunikacji zbiorowej w mniejszych miejscowościach. Pogorszony dostęp do miejsc pracy, ograniczony dostęp do edukacji, ogólna degradacja takich ośrodków.

#### Są przecież pociągi

Idealnym środkiem komunikacji zbiorowej jest pociąg, chyba wszyscy się z tym zgodzimy. Niestety, nie wszystkie miejscowości mają dostęp do infrastruktury kolejowej. Także jej posiadanie nie zapewnia dojazdu pociągu, każdego roku likwidowane są dziesiątki linii kolejowych.

W samym 2013 r. „wyłączono z ruchu” (co w praktyce oznacza likwidację) 90 odcinków linii kolejowych, co daje 2 tysiące kilometrów połączeń.

Nietrudno się domyślić, że najbardziej ucierpiały na tym małe miasta oraz wioski. Szczególnie biorąc pod uwagę, że nawet jeśli

linia istnieje, często obsługuje się tylko pociągi dalekobieżne.

#### Prywatny bus cię dowiezie

Rozwiązaniem nie jest prywatna komunikacja zbiorowa. Podobnie jak z prywatnymi szpitalami, to nie jest rozwiązanie problemu i może przynieść więcej złego niż dobrego. Kontrole prywatnych przewoźników pokazują, że gdy liczy się zysk – bezpieczeństwo zostaje na drugim planie. Kierowcy są przemęczeni, autobusy przeładowane, jeździ się zbyt szybko, aby zrobić jak najwięcej kursów. Poza tym omija się te mniej atrakcyjne trasy. Tam, gdzie nie da się zarobić, busa na będzie.

#### Przeładuj się w samochód

Sprawa ma także wymiar ekologiczny. Sytuacja zmusza osoby zamieszkujące małe miasta i wsie do zakupu samochodów. To jedyna możliwość dojazdu do pracy, szkoły, zrobienia zakupów... normalnej egzystencji. I nie są to ekologiczne auta. Na wsi zarejestrowane są

głównie stare i tanie samochody. Jak wskazuje GUS, rolnicy są drugą (po przedsiębiorcach) grupą, która jest zmotoryzowana. Auto jest w ponad 90% gospodarstw domowych, choć średnio dochód na osobę wynosi niewiele ponad 1000 zł.

W małym mieście czy na wsi brak samochodu oznacza wykluczenie, co nie jest tak oczywiste w dużych ośrodkach. Emeryci i renciści, grupa często w największym stopniu potrzebująca sprawnego środka transportu, jest jednocześnie tą, która najczęściej auta nie posiada. Dlatego obowiązkiem samorządów powinno być zapewnienie im mobilności.

#### Będzie lepiej?

Gdy miejscowość znajduje się blisko większego ośrodka – już dużo wygrywa. Tak jest np. w przypadku gminy wiejskiej Lubin czy gminy Kołbaskowo (obok Szczecina). W obu przypadkach kursy w małych miejscowościach obsługuje komunikacja miejska. Takie rozwiązanie to porozumienie samych gmin.

Ważne, że nie są to sporadyczne kursy. W Kołbaskowie można liczyć na dojazd z i do Szczecina do późnych godzin nocnych w regularnych odstępach.

Trudniej jest w miejscowościach na uboczu, oddalonych choćby od powiatowych miast. Tu ratunkiem mogą być fundusze unijne. W ramach Funduszu Rozwoju Regionalnego UE jest gotowa na inwestowanie w rozwój i modernizację transportu publicznego.

Każda mała miejscowość zaczyna być z definicji – wybaczone określenie – Polską B. Nie można pozwolić, aby magiczne słowa „opłacalność” i „zysk” sprawiły, że setki tysięcy osób będą poszkodowane. Priorytetem samorządów w mniejszych ośrodkach powinno być zapewnienie mieszkańcom dostępu do taniej i ekologicznej komunikacji zbiorowej.

.....  
Wioleta Krysiak jest studentką Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych UW. Działła na rzecz osób wykluczonych.

## Myśl, miej świadomość, reaguj, oddychaj



**Kamila  
Musiatowicz**

Trudno walczyć o czyste powietrze bez zmian w myśleniu o tym, czym oddychamy. Rzecz w tym, że mało kto nad tym się zastanawia. A jeśli Kowalski nie zastanawia się, czy ten dym z rury samochodu nie truje jego samego i jego dzieci, to nie zrobi nic. Nie zgłosi, nie pójdzie, nie zareaguje.

Otrzymałam 5000 znaków na temat zanieczyszczeń powietrza, zatem będzie krótko i zwięźle. Oto kilka faktów, które może skłonią do myślenia Kowalskiego i być może skłonią do działania tych, co zwykli robić uniki, bo „problem trudny i niesie za sobą koszty”.

Fakt nr 1. Dane Światowej Organizacji Zdrowia optymizmem nie napawają. Zanieczyszczone powietrze odbiera życie aż 7 milionom ludzi rocznie. Niewielka z pozoru i lekceważona przyczyna pozbawia życia nieomal pięciokrotnie więcej ludzi niż bezpośrednie skutki kolizji samochodowych (1,3 mln), a także więcej osób niż wynosi liczba ofiar różnego rodzaju wypadków (5 mln).

WHO wskazuje, że szkodliwe oddziaływanie na zdrowie ludzkie ma przede wszystkim pyłowe zanieczyszczenie powietrza, którego źródłem jest paliwo spalane w silnikach, fabrykach oraz pył drogowy. Skutki długoterminowego narażenia społeczeństwa na zanieczyszczenia powietrza to m.in. śmiertelne i chroniczne choroby układu oddechowego i krwionośnego tj. zawał



mięśnia sercowego, udar mózgu, astma oskrzelowa, niewydolność dróg oddechowych i serca.

Fakt nr 2. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) „uspokaja”, że nie zabijają nas już złe warunki sanitarne czy brak czystej wody, bo umrzemy wcześniej z powodu zanieczyszczeń powietrza. W tym miejscu warto wspomnieć o kosztach, które tak często są hamulcem działań decydentów. Otóż według wyliczeń OECD straty fi-

nansowe związane z zanieczyszczeniem powietrza w 34 najbardziej rozwiniętych krajach świata oraz w Chinach i Indiach wynoszą bagatelę 2,6 biliona euro.

Fakt nr 3. OECD wskazuje winnych i daje rekomendacje. Skoro za ponad połowę zanieczyszczeń powietrza odpowiada transport drogowy, warto chociażby zadbać o bardziej restrykcyjne standardy emisji dla samochodów i stworzyć strefy ekologiczne, zlikwidować wszelkie zachęty do kupowania samochodów na ropę (to te, które cechuje największa szkodliwość emisji), rozwijając transport rowerowy i publiczny, tworzyć zachęty do rozwoju samochodów elektrycznych, zadbać o zielen miejską neutralizującą negatywne skutki zapylenia itp. Rekomendacji dla rządzących jest wiele, lecz wola wciąż niewielka.

Przekaz dla Kowalskiego to: miej świadomość i reaguj, bo świadomość skutków działań, które każdy z nas podejmuje względem natury, jest głównym kluczem do zmian. Skoro skutki zdrowotne zanieczyszczeń powietrza są tak ogromne, a decydenci opieszali w działaniach, to może warto zacząć od siebie i przesiąść się na rower.

.....  
Kamila Musiatowicz – koordynator projektu „Klimat bez sadzy”, Stowarzyszenie Zielone Mazowsze.

Więcej: [www.klimatbezsadzy.zm.org.pl](http://www.klimatbezsadzy.zm.org.pl)



# WOLNIEJ, BRUDNIEJ, DROŻEJ



**Wojciech  
Makowski**

**Przez dziesięć lat członkostwa Polski w Unii**

**Europejskiej na transport, w tym transport miejski, poszły miliardy. Mimo tych wszystkich inwestycji, a czasem z powodu ich realizacji, poruszamy się dłużej, wolniej i z większym obciążeniem dla środowiska niż przed dekadą. Nic w tym zaskakującego, skoro nie dobiliśmy się wspólnej wizji tego, co w ogóle chcielibyśmy osiągnąć – zarówno w kraju, jak i w poszczególnych miastach.**

## Kraj autoholików

Po wejściu do UE i uzyskaniu dostępu do tanich używanych samochodów ich liczba dynamicznie wzrosła. Warszawiacy mają dwa razy więcej aut niż berlińczycy w porównaniu do liczby ludności. Problemem jest jednak nie tyle liczba aut, ale to, że Polacy jeżdżą nimi wszędzie.

Obecnie jesteśmy drugim najbardziej uzależnionym od samochodu narodem UE. Według danych Eurostatu motoryzacja indywidualna ma aż 89,1% udziału w przewozach osób. Gorzej jest tylko na Litwie (90,8%). Ale już w innych krajach Europy Środkowej, jak Czechy czy Węgry, samochód ma odpowiednio 74,4 i 63,4% udziału w przewozach.

Świadomie mówię tu o uzależnieniu. Po przekroczeniu pewnego progu udziału samochodów w przewozach osoby, które nie mają do nich dostępu, nigdzie nie pojadą. Nakreca się spirala śmierci transportu publicznego. Spadek liczby pasażerów skutkuje wzrostem cen i cięciami połączeń, które odstraszą kolejnych pasażerów. Koło się zamyka.

Taki system jest oczywiście drogi dla mieszkańców, a będzie jeszcze droższy. W 2010 r. transport pochłaniał 13% wydatków polskich gospodarstw domowych. Rząd szacuje, że w 2030 r. będzie to już 17%, czyli co szósta złotówka.

Taki transport intensywnie wyklucza. Wszystkich, którzy są za młodzi albo za starzy, żeby prowadzić. Wszystkich, którym stan zdrowia (choćby lekki daltonizm) uniemożliwia prowadzenie samochodu. Wreszcie wszystkich, których nie stać na auto czy też drugie auto w rodzinie (jeżeli jest tylko jedno, zwykle jeździ nim mężczyzna).

Sytuację pogarsza również skład floty, którą Polacy jeżdżą. Nie ma żadnych zachęt podatkowych do wybierania bardziej ekologicznych aut przy zakupie. Prace nad wprowadzeniem możliwości tworzenia stref niskiej emisji w miastach utknęły w martwym punkcie. Tymczasem w Niemczech takie strefy, zakazujące wjazdu do centrów miast największym trucicielom, działają już siódmy rok. Przyczyniły się nie tylko do poprawy stanu powietrza, ale też do zmniejszenia ruchu samochodowego w ogóle.

## Wyspy transportu publicznego

Spirala śmierci transportu publicznego może nie jest widoczna w Warszawie, Krakowie czy Trójmieście. Natomiast już na Górnym Śląsku czy w Łodzi, a także w większości mniejszych miast mobilność osób bez własnych samochodów jest poważnie ograniczona. Jeżeli już nawet dojedziemy do pracy prywatnym busem, możliwości powrotu z wieczornego kina czy też dojechania gdziekolwiek w dzień świąteczny są wysoce niepewne.

Przez ostatnie lata wydano sporo na modernizację taboru autobusowego, tramwajowego i kolejowego, a także na infrastrukturę. Mimo to coraz więcej osób wybiera jazdę własnym samochodem. Niewiele z nich rzeczywiście chce tak się poruszać, o wiele więcej czuje się do tego zmuszonych. Inwestycje w transport zbiorowy nie nadążają za rozwojem infrastruktury drogowej, która wzbudza nowy ruch samochodowy. Spada konkurencyjność transportu zbiorowego, choćby pod względem czasu przejazdu.

Poza tym wiele projektów finansowanych ze środków na transport zbiorowy w rzeczywistości preferuje samochody kosztem autobusów i tramwajów. Przykładem mogą być modernizacje najważniejszych linii tramwajowych w Łodzi. Na osi północ-południe tramwaj miał pojechać 12 minut szybciej niż przed remontem. Tymczasem rozkładowo jeździ wolniej i często się spóźnia, bo sygnalizacja jest ustawiona na przepuszczenie maksymalnej liczby samochodów. Obecnie władze Łodzi powtarzają ten sam manewr przy modernizacji trasy wschód-zachód.

Zarówno ministerstwa, jak i Komisja Europejska pozwalają kolejnym

samorządom robić się w konia inwestycjami, które prowadzą do przeciwnego skutku niż zakładany cel programu, który je finansuje. Wiele inwestycji pada też ofiarą „ekspertów” od bezpieczeństwa ruchu, którzy traktują miejskie ulice jak autostrady, gdzie ruch pieszy i samochodowy jest całkowicie oddzielony. Mnożą się więc zasięki na pieszych, przejścia podziemne, kładki i wiecznie zepsute windy. Te wszystkie „ułatwienia” dodają do czasu podróży znacznie więcej minut niż modernizacja linii, przy okazji której je postaviono.

Kolejną przyczyną upadku transportu publicznego jest totalna dezintegracja po stronie jego organizatorów i operatorów, czyli samorządów oraz przewoźników. Pomysł, żeby nie można było wsiąść do pociągu regionalnego poruszającego się w granicach miasta na tym samym bilecie co do tramwaju, żeby wielu przewoźników z wieloma różnymi biletami obsługiwało tę samą trasę podmiejską, czy żeby autobus rozwożący ludzi ze stacji kolejowej nie czekał na przyjazd pociągu, to czyste szaleństwo. Znakomicie podważa to skuteczność jakichkolwiek inwestycji w te pociągi czy tramwaje. W wielu krajach, jak chociażby w Niemczech czy Szwajcarii, byłoby to po prostu nielegalne. Ale nawet bez przymusu ustawowego, integracja rozkładów i biletów to sprawa dogadania się. Trzeba tylko chcieć. Jest to jednak bardzo nisko na liście priorytetów większości polskich samorządowców.

## Rowerzy – za mało, za wolno

Sporo natomiast dzieje się w polityce rowerowej. To część wielkiego trendu, widocznego w większości krajów Europy Zachodniej. Wielu, zwłaszcza młodych, pochało niezależność, jaką daje rower

– a także te trzy stowy miesięcznie, jakie przeciętnie oszczędzamy przy zamianie czterech kótek na dwa. Po ruchach samorządowców w ostatnich latach widać, że im to zapotrzebowanie wychodzi w sondażach i starają się jakoś na nie odpowiedzieć. W wielu miastach powstały stanowiska „oficerów rowerowych” (choć niektórzy pełnią raczej funkcję zderzaków chroniących władzę przez kontaktem z lokalnymi aktywistami). Przed wyborami mnożą się przecięcia wstęp systemów wypożyczania rowerów.

Niestety, żadne polskie miasto nie ma wciąż spójnego systemu tras rowerowych umożliwiającego bezpieczne i wygodne poruszanie się po całym swoim obszarze. A tylko wtedy, gdy rower będzie mógł zaspokoić wszystkie nasze potrzeby przemieszczania się po mieście, będzie on używany naprawdę często. W konsekwencji żadne z dużych polskich miast, nawet tych postrzeganych jako rowerowi liderzy – Wrocław, Gdańsk i Kraków – nie osiągnęło jeszcze nawet 5% udziału rowerzystów w ruchu. Tymczasem w Berlinie, Monachium, Frankfurtu czy Dreźnie, które również musiały budować ruch rowerowy od początku, udział ten od dawna jest dwucyfrowy.

Ile lat potrzeba, żeby taki system tras stworzyć w mieście poniżej miliona mieszkańców? Hiszpańska Sewilla pokazała, że nie więcej niż cztery. Tak, to zadanie na jedną kadencję. Czy jednak będzie to kadencja najbliższa? Kluczowe jest tu podejście organizacji rowerowych i samych prorowerowych wyborców. Ten ruch nie jest świadom własnej siły. Zbyt często daje się usatysfakcjonować punktowymi usprawnieniami, zamiast żądać całego systemu bezpiecznego, wygodnego i szybkiego

poruszania się. Ponadto, niewielkie systemy rowerów publicznych (których postawienie w warunkach polskich kosztuje ok. 10 tysięcy za jeden jednośląd), stały się łatwym sposobem „przykrywania” problemu niedorozwoju sieci tras.

## Mobilność prawem, nie przywilejem

Aby odwrócić obecne trendy, trzeba w każdym mieście postawić jasne cele. Na poziomie Unii Europejskiej taki cel został zapisany w transportowej „Białej księdze” z 2011 r.: to wyeliminowanie samochodów o konwencjonalnym napędzie z miast do r. 2050. Na poziomie miast możemy brać przykład z Helsinek. Władze stolicy Finlandii (od 2003 r. za transport odpowiada tam zielony wiceburmistrz Pekka Sauri) przyjęły cel następujący: do r. 2025 samochód stanie się całkowicie zbędny przy poruszaniu się po mieście. Możemy też poszukać inspiracji w Hamburgu, który zamierza objąć 40% miasta siecią całkowicie wolnych od samochodów „zielonych tras” dla ruchu pieszego i rowerowego w ciągu najbliższych 15 lat.

Powinniśmy też domagać się wiążących standardów obsługi. Np. we Flandrii każdy ma prawo do przystanku transportu publicznego w odległości nie więcej niż 800 metrów od domu. W Czechach liczba kursów transportu zbiorowego, jakie muszą być zapewnione w zależności od wielkości miejscowości, jest regulowana ustawowo. Lokalna mobilność nie jest bowiem przywilejem zamożnych, ale prawem każdego.

.....  
**Wojciech Makowski jest ekspertem ds. zrównoważonego transportu w łódzkim Instytucie Spraw Obywatelskich, audytorem polityki rowerowej BYPAD.**



fot. Małgorzata i Konrad Strzeleccy

# Funt brixtoński – pieniądz dla lokalnej społeczności



Susan Steed

## Jak pieniądz rządzi światem

Przysłowie mówi, że „pieniądz rządzi światem”. Zważywszy na centralną rolę pieniądza w niemal wszystkich dziedzinach, zadziwiające jest, jak mało uwagi poświęcamy temu, skąd on pochodzi – i jak działa. Jeżeli spytasz ludzi na ulicy, skąd się biorą pieniądze, często myślą że pieniądze tworzą rządy lub banki centralne. W rzeczywistości dotyczy to zaledwie ok. 3% pieniędzy w gospodarce. Resztę tworzą prywatne banki w formie kredytu, za każdym razem, gdy udzielają pożyczki.

Z tak tworzonymi pieniędzmi jest szereg problemów. Po pierwsze, oznacza to, że pieniądze są dostępne na te cele, które dadzą bankom największy zysk, nie zaś te, które stworzą największą wartość dla społeczeństwa. Proces kreacji pieniądza przebiega całkowicie poza demokratyczną kontrolą, napędzając wzrost nierówności i bańki na rynku mieszkaniowym. W Wielkiej Brytanii coraz więcej ludzi próbuje dziś wywołać na ten temat dyskusję. W New Economics Foundation (Fundacji na rzecz Nowej Ekonomii) opublikowaliśmy książkę *Where does Money come from?* (Skąd się biorą pieniądze?), która rozwiewa niektóre mity dotyczące pieniędzy i bankowości. Organizacja Positive Money również ciężko pracuje nad tym, by upowszechnić świadomość obecnego sposobu tworzenia pieniędzy i tego, że można go zmienić.

Równoległe do prób reformy systemu monetarnego coraz częściej ludzie sami postanawiają tworzyć alternatywy – lub waluty komplementarne – które oferują nowe możliwości handlu i tworzenia więzi.

## Inny rodzaj pieniądza

Takim projektem, w który osobiście jestem zaangażowana, jest funt brixtoński. Wbrew bezsilności, jaką łatwo poczuć w obliczu wielu z tych wielkich kwestii, postanowiliśmy stworzyć własną lokalną walutę – funta brixtońskiego (Brixton jest dzielnicą w południowo-zachodnim Londynie – przyp. red.). Chcieliśmy w ten sposób budować alternatywę i mieć taki rodzaj pieniądza, który wspiera społeczność lokalną i jest przed nią odpowiedzialny.

Sposób, w który funkcjonuje funt brixtoński, jest bardzo prosty – są to pieniądze, które pozostają w Brixton. To oznacza, że są w obiegu w Brixton i podnoszą lokalny popyt. Ludzie mogą kupować funty brixtońskie za funty szterlingi. Mogą je wydawać w lokalnych firmach. Gdy wydają funty brixtońskie w firmach biorących udział w tym systemie, właściciel firmy zobowiązuje się, że spróbuje puścić je w dalszy obieg. Dzięki temu waluta ma potężny efekt mnożnikowy i dalej generuje popyt w dzielnicy, zamiast wyprowadzać go poza lokalną gospodarkę.

Wymieniając swoje pieniądze na funty brixtońskie, nie tylko wspierasz lokalne firmy. Nabyte funty szterlingi trafiają do lokalnej kasy pożyczkowej, która jest nienastawioną na zysk kooperatywą. Zapewnia ona dostępne usługi finansowe członkom społeczności lokalnej.

Idea, że taka sama ilość pieniędzy może przenosić się w ramach gospodarki wielokrotnie, tkwi w sercu systemów takich, jak funt brixtoński, funt bristolski, niemiecki chiemgaer czy amerykańskie berkshares. Często patrzymy tylko na ilość pieniędzy, które wpływają na dany obszar. Np. lokalne władze skupiają się na przyciąganiu do swojego miasta zagranicznych inwestycji. Jednak równie ważną kwestią (a może nawet ważniejszą) jest to, co stanie się dalej z tymi pieniędzmi. Czy będą ponownie inwestowane na miejscu, czy zostaną wyrenowiane z lokalnej gospodarki?

Ideą, że taka sama ilość pieniędzy może przenosić się w ramach gospodarki wielokrotnie, tkwi w sercu systemów takich, jak funt brixtoński, funt bristolski, niemiecki chiemgaer czy amerykańskie berkshares. Często patrzymy tylko na ilość pieniędzy, które wpływają na dany obszar. Np. lokalne władze skupiają się na przyciąganiu do swojego miasta zagranicznych inwestycji. Jednak równie ważną kwestią (a może nawet ważniejszą) jest to, co stanie się dalej z tymi pieniędzmi. Czy będą ponownie inwestowane na miejscu, czy zostaną wyrenowiane z lokalnej gospodarki?

## Zadawanie właściwych pytań

Jedną z najbardziej interesujących cech funta brixtońskiego jest to, że od początku zastanawialiśmy się nad tym, jak sprawić, by pieniądze pracowały dla Brixton. Pytaliśmy przedsiębiorstwa, co chciałyby móc nabywać od lokalnych producentów. Pytaliśmy szkoły

i inne publiczne instytucje, gdzie się zaopatrują w niezbędne rzeczy i wspólnie przyglądaliśmy się, czy coś tu można zmienić.

To nie znaczy, że wszystko powinno lub może być produkowane lokalnie. Istnieją produkty, których nigdy nie będzie wytwarzać się w Brixton. Nie oczekujemy, że nagle wyrosną tu sady mango-ców czy montownie brixtońskich MacBooków! W tych wypadkach powinniśmy zadawać więcej pytań o warunki handlu i upewnić się, że producenci otrzymają uczciwą cenę – gdziekolwiek są. Pytanie o to, skąd kupowane przez nas produkty pochodzą i jakie są realne koszty społeczne i środowiskowe ich wytworzenia, pozostanie z nami bez względu na rodzaj używanej waluty.

Natomiast inne dobra moglibyśmy znów produkować lokalnie. Dlatego wspieramy nowe przedsiębiorstwa w Lambeth (gmina w Londynie, której częścią jest Brixton – przyp. red.), takie jak firma Lambeth Polytunnel, która zajmuje się uprawą sałaty czy Brixton Energy – lokalnego producenta energii.

W gruncie rzeczy, gdy tylko zaczniemy się rozglądać, istnieje wiele sposobów wspierania lokalnych przedsiębiorstw, realny potencjał zmiany. To wielka szansa poprawy jakości życia i uzyskania szeregu innych korzystnych skutków dla Brixton oraz środowiska.

## Następny krok

Gdy w 2009 r. wprowadziliśmy funta brixtońskiego, można było

nim płacić w 35 firmach – jesienią 2013 r. było ich już ponad 200. Lokalnej waluty można używać do kupowania wszystkiego, od bananów aż po usługi fryzjerskie.

W 2012 r. uruchomiono elektroniczną wersję funta brixtońskiego, tak więc można nim płacić za pomocą telefonu komórkowego przez wysłanie bardzo prostej wiadomości tekstowej.

Funt brixtoński został dobrze przyjęty przez Radę Dzielnic Lambeth. Zatrudnieni przez nią urzędnicy mogą, jeśli chcą, pobierać część podatku w funtach brixtońskich, które mogą wydać lub wpłacić na lokalne organizacje pozarządowe. Na dodatek firmy w Lambeth będą mogły zacząć płacić podatki w funtach brixtońskich – jest to pierwszy taki przypadek wśród walut lokalnych w Wielkiej Brytanii.

Mamy też wielkie plany na przyszłość. Jednym z najbardziej ekscytujących postępów jest współpraca z radą Lambeth przy projekcie stworzenia lokalnej waluty na poziomie całej gminy Lambeth. Ten projekt, pod nazwą *Community Currencies in Action* (Waluty Lokalne w Działaniu), będzie finansowany z funduszy europejskich.

## Odmiany walut lokalnych

Funt brixtoński jest szczególnym rodzajem waluty lokalnej – opiera się na pieniądzach, które ludzie już posiadają, po czym przekształca je w formę sprzyjającą przyspieszonemu krążeniu

pieniądza w gospodarce. Istnieją inne rodzaje walut, które nie muszą być w żaden sposób powiązane z funtem szterlingiem. Aby stworzyć walutę, wystarczy że są jakieś umiejętności bądź zasoby do zmobilizowania.

Jedną z takich walut są „banki czasu”. Działają one w ten sposób, że za dobra i usługi wynagradza się ludzi w jednostkach czasu. Np. ktoś, kto spędzi dwie godziny pomagając komuś w ogrodzie, dostaje dwie jednostki czasu. „Pieniądz” powstaje, ponieważ ktoś mógł i był gotów zaoferować swój czas i umiejętności. Tego rodzaju waluta udostępnia wymiennie się większą ilością usług nawet, gdy istnieje niedobór oficjalnego pieniądza, ponieważ zapewnia alternatywny środek wymiany.

Innym rodzajem waluty są wzajemne kredyty na linii firma-firma. Są one rozwiązaniem pośrednim między funtem brixtońskim a bankami czasu. Funkcjonują ona tak, że firma akceptuje alternatywną walutę w handlu z innymi firmami. Przedsiębiorstwa akceptują tę walutę od innych, ponieważ wierzą, iż będą mogły za nią nabywać dobra z innych firm w tej samej sieci. Nie jest to „podparte” szterlingiem, ale zaufaniem, umiejętnościami i zasobami firm w sieci. Tego typu wymiany są bardzo częste w USA, zaś względnie nowa waluta – Sardex – także wkracza na nowy grunt na Sardynii.

## Poza pieniądzem

Można odnieść wrażenie, że istnieją naprawdę duże różnice między różnymi rodzajami walut komplementarnych. Może być dość trudno pojąć, jak każda z nich działa, co mają wspólnego, a gdzie się różnią.

Uważam, że wszystkie te modele walut łączy to, że oferują przestrzeń, by zacząć robić rzeczy w inny sposób i przyjrzeć się temu, jak to działa. Niektóre przedsiębiorstwa, które poznały się jako partnerzy handlowi w systemie funta brixtońskiego, zaprzyjaźniły się ze sobą i z czasem stosowały zaczęły posługiwać się handlem wymiennym, bez pośrednictwa żadnej waluty. Czy to znak sukcesu czy porażki? Myślę, że sukcesu, ponieważ waluta umożliwiła handel, który bez niej nie miałby miejsca. Podobnie mają się sprawy z bankami czasu – gdy ludzie w nich zaprzyjaźniają się ze sobą, często przestają liczyć, ile jednostek czasu mają na koncie. Zaufanie może działać całkiem dobrze bez innych motywacji.

Tym, którzy na tym polu są względnie nowi, polecam rozpoczęcie eksperymentowania z różnymi sposobami wymiany się z ludźmi. Jest coś bardzo wyzwającego w możliwości wydawania pieniędzy stworzonych przez samą społeczność. Posiadają one wartość, ponieważ inni są gotowi je od ciebie przyjąć, a nie tylko dlatego, że można je złożyć w banku. To może otworzyć zupełnie inną przestrzeń wymiany. Taką, w której jesteśmy mniej zależni od wielkich scentralizowanych instytucji, dzięki czemu możemy w ogóle w mniejszym stopniu potrzebować pieniędzy.

Artykuł napisany specjalnie dla „Zielonych Wiadomości”. Przel. Tomasz Szustek.

.....  
Susan Steed jest badaczką w New Economics Foundation i współtwórczynią funta brixtońskiego. Twitter: @SusanSteed.





fot. Flickr.com / World Development Movement

Stany  
Grudzielski

Rządy państw członkowskich mogłyby walczyć o ochronę usług publicznych w ramach TTIP (transatlantycznej umowy o wolnym handlu). Ale tak się składa, że tego nie robią.

W okolicach szóstej rundy negocjacji TTIP coraz większe zaniepokojenie budzi kwestia usług. Na bliższą uwagę zasługują zagrożenia, jakie niesie ze sobą TTIP w tym obszarze – zwłaszcza jeśli chodzi o usługi publiczne, jakość świadczenia usług oraz warunki pracy w sektorze usługowym.

Podobnie jak w przypadku pozostałych aspektów TTIP, istnieje ogólny problem z brakiem przejrzystości odnośnie do negocjowanych tematów. Jednak to, czego dotąd udało się nam dowiedzieć, potwierdza palącą potrzebę zaalarmowania opinii publicznej o stawkach tych negocjacji.

### „Lista negatywna”

Zakres usług obejmowanych przez TTIP jest bezprecedensowo szeroki. Wyraźne zerwanie z podejściem obowiązującym jeszcze do niedawna w negocjacjach Unii Europejskiej dotyczących wolnego handlu stanowi fakt, że zapisy TTIP mają być przynajmniej po części oparte na tzw. liście negatywnej.

Oznacza to, że zliberalizowane będą wszystkie sektory prócz tych, które zostaną wprost wymienione jako objęte wyjątkiem lub ograniczeniami na życzenie co najmniej jednej ze stron. W efekcie porozumienie może nie tylko ograniczyć liberalizację usług, które nie zostaną wprost objęte wyjątkiem, lecz także uniemożliwić poszczególnym krajom wycofywanie się z prywatyzacji.

Podejście oparte na liście negatywnej zastosowano już niedawno w negocjacjach nad CETA (porozumieniem handlowym Unii Europejskiej z Kanadą). Jednak w przypadku TTIP może mieć ono jeszcze groźniejsze skutki

# TTIP – zagrożenie dla usług publicznych

dla usług publicznych, zważywszy na samą skalę amerykańskiego sektora usług. Świadczące je korporacje mają oczywisty interes w ofensywnym przejmowaniu szerokiego segmentu rynku usług w państwach UE.

### Potężna presja

Jak widać, wpływ TTIP na usługi publiczne w UE jest potencjalnie bardzo groźny. Ze strony amerykańskiej istnieje potężna presja na otwieranie tych usług, które większość krajów UE traktuje jako część społecznej infrastruktury.

Mimo że państwa członkowskie mogą – i miejmy nadzieję, że zechcą – poprosić o ograniczenia w wielu sektorach usług publicznych, nie są to zabezpieczenia dostateczne. W ramach TTIP trudniejsze, a może wręcz niemożliwe stanie się utrzymanie lub wprowadzenie monopolu bądź umów na wyłączne dostarczanie usług, a także reorganizacja świadczenia usług publicznych, które w Europie często zorganizowane są w formie skomplikowanej mieszanki publicznych i prywatnych podmiotów działających na rzecz realizacji publicznych celów.

Mandat negocjacyjny Komisji Europejskiej obejmuje, jak to zwykle bywa w przypadku takich umów o wolnym handlu, wyjątek dla usług związanych z wykonywaniem władzy rządu. Chodzi o takie fundamentalne zadania rządu jak wymiar sprawiedliwości bądź policja. Jest to jednak bardzo ograniczony wyjątek i nie daje żadnego zabezpieczenia dla usług publicznych jako takich.

Jeśli chodzi o wyjątki sektorowe, Komisja Europejska nie ma mandatu do podejmowania żadnych zobowiązań w dziedzinie usług

audiowizualnych. Jednak amerykański przemysł audiowizualny nie poddaje się i Komisja już zgodziła się na dostarczenie szczegółowych wyjaśnień dotyczących zakresu tego wyjątku. Tym samym istnieje ryzyko, że branża audiowizualna nie będzie jednak do końca wyłączona z zakresu TTIP.

### Usługi publiczne

Lista innych usług publicznych, będących przedmiotem negocjacji, budzi najwyższe zaniepokojenie.

Strona amerykańska domaga się szerszego otwarcia usług pocztowych, tak aby obejmowało nie tylko bezpośrednie dostarczanie przesyłek, lecz wszelkie konkurencyjne usługi związane z przesyłkami.

Usługi zdrowotne w Europie budzą głębokie zainteresowanie amerykańskich firm, postrzegających je jako olbrzymi rynek do podbicia.

W dziedzinie edukacji strona amerykańska naciska na liberalizację szkolnictwa wyższego i kształcenia dorosłych.

Na celowniku znalazły się również wodociągi. Możliwe jest podważenie niedawnego osiągnięcia europejskiego społeczeństwa obywatelskiego, jakim było wyłączenie wody z zakresu unijnej dyrektywy o koncesjach.

Co gorsza, zagrożone są również takie narzędzia polityki publicznej jak kryterium potrzeb ekonomicznych, stosowane np. w ochronie zdrowia w celu ograniczenia liczby podmiotów świadczących usługi lub całkowitej sumy transakcji w imię zarządzania konkurencją i kontroli wydatków publicznych.

### CETA – niepożądany precedens

Unijna propozycja w dziedzinie usług, dopracowywana właśnie w konsultacjach z państwami członkowskimi, będzie w przypadku TTIP bardzo podobna do stanowiska negocjacyjnego w rozmowach z Kanadą. Nie jest to wiadomość w żadnym stopniu uspokajająca, jeśli chodzi o przyszłość usług publicznych w Europie.

Warto przypomnieć, że w rezolucji z 2012 r. Parlament Europejski jednoznacznie stwierdził, że CETA nie może być traktowana jako precedens dla przyszłych porozumień o wolnym handlu, zwłaszcza jeśli chodzi o podejście oparte na liście negatywnej. Jest oczywiste, że Rada Europejska i Komisja Europejska w ogóle nie liczą się w tej kwestii z głosem Parlamentu.

### Rola państw członkowskich

Obywatelki i obywatele, organizacje pozarządowe i wszystkie podmioty zainteresowane obroną i promowaniem jakości usług publicznych w Europie zaczęły już mobilizować się przeciwko zagrożeniom, jakie stanowi TTIP dla tych sektorów.

Usługi publiczne to kamień węgielny europejskiego modelu społecznego. Z punktu widzenia Zielonych stanowią one również podstawowy instrument budowy bardziej trwałego i sprawliwego społeczeństwa – jeden z filarów Zielonego Nowego Ładu. Dlatego musimy energicznie walczyć przeciwko TTIP i powstrzymać jego negatywne konsekwencje.

Obywatelki i obywatele Europy muszą wywierać presję na rządy,

aby domagały się one ochrony usług publicznych przed skutkami TTIP.

Potrzebne są działania i kampanie na poziomie narodowym we wszystkich państwach członkowskich UE. Musimy podnieść świadomość problemu wśród parlamentarzystów i ministrów, którzy w chwili obecnej często również jeszcze niewiele wiedzą.

Rządy państw europejskich mają obowiązek chronić swoje usługi publiczne przed nieodpowiednią dla tych sektorów wolnorynkową konkurencją. Mogą to zrobić, domagając się szerokich wyjątków dla usług publicznych na forum Rady Europejskiej. Mogą też domagać się ograniczeń umożliwiających przez Aneks II (dyrektywy o zamówieniach publicznych), co pozwala rządowi na cofanie wcześniejszych decyzji o liberalizacji usług.

Ogólne wyłączenie usług świadczonych w ramach zwierzchności rządu to za mało. Państwa członkowskie mają możliwość domagania się w imię ochrony usług publicznych szerokich ograniczeń, zarówno horyzontalnych, jak i dotyczących poszczególnych sektorów. I powinny z tej możliwości skorzystać.

Grupa Zielonych przygotowała instrukcję ułatwiającą lekturę zapisów TTIP dotyczących usług. Pełny tekst propozycji negocjacyjnych Unii Europejskiej w dziedzinie usług, dostępny dzięki wyciekowi, znajduje się na stronie: [tip2014.eu](http://tip2014.eu)

Stany Grudzielski jest doradcą grupy Zielonych/Wolnego Sojuszu Europejskiego ds. rynku wewnętrznego i ochrony konsumentów.

# Miasta – ekofabryki przyszłości



**Dirk Holemans**

**W miarę szybko postępującej urbanizacji miasta będą stawać się coraz ważniejszym elementem przejścia**

**w stronę gospodarki niskoemisyjnej. Mogą odegrać w nim rolę wiodącą, pracując nad stworzeniem miejskiej gospodarki cyrkularnej i slow economy.**

Nasze społeczeństwo stoi w obliczu licznych kryzysów, wyzwania są dobrze znane. Obecny model ekonomiczny Weź-Wykorzystaj-Wyrzuć już spełnia swej funkcji, ponieważ przekracza granice możliwości Ziemi i powoduje wzrost nierówności. Europejska Partia Zielonych zaproponowała Zielony Nowy Ład jako zintegrowaną odpowiedź na kryzysy pojawiające się na poziomie europejskim i narodowym. Jednocześnie innowacje ekonomiczne są coraz bardziej związane z kreatywnymi miastami i regionami miejskimi. Dlatego też gospodarcza odnowa Europy mogłaby częściowo powstać w sieci miast i regionów miejskich, które jako miejsca gromadzące wiedzę i innowacje stanowią awangardę zielonej gospodarki. Ilustracją tego, co można zrobić, jeśli dwa kreatywne miasta łączą się swoje zdolności i pomysły, jest przykład miast Almera i Prato (zob. przykład nr 1).

W celu rozwinięcia miejskiego wymiaru Zielonego Nowego Ładu powstał wspólny projekt Green European Foundation oraz zielonych fundacji Katalonii (Nous Horizons) i Flandrii (Oikos). Oikos przygotował dokument wprowadzający do dyskusji, w którym rozwija wątek ekologicznej reindustrializacji europejskich miast. Oto krótki zarys tej wizji.

## Podwójna transformacja

Punktem wyjścia jest fakt, że przejście do gospodarki społeczno-ekologicznej wymaga podwójnego ruchu: *Jeśli gospodarki miejskie na całym świecie będą rozwijać się ekologicznie w gospodarki o zamkniętym obiegu, światowa gospodarka będzie mogła być mniejsza i bardziej zielona.* To drugie jest niezbędne i pożądane. Nasza obecna gospodarka światowa pochłania zbyt wiele surowców i paliw kopalnych, zaś relokalizacja produkcji może stworzyć nowe możliwości zatrudnienia. A to jest szczególnie ważne dla naszych miast, które walczą ze strukturalnym załamaniem liczby miejsc pracy dostępnych dla nisko wykwalifikowanych pracowników. Utratę szans dla tej grupy należy widzieć w połączeniu z innymi zjawiskami, choćby rozwojem ekstremalnej prawicy.

Nie chodzi tu o naiwne hasło „wszystko lokalnie”. Inteligentnym rozwiązaniem jest myślenie jednocześnie w wielu skalach. Nadal będziemy mieć światowy handel, a firmy high tech rozwijające np. technologie satelitarne wciąż będą działać na rynku globalnym. Wszystko, co „ciężkie” i wiąże się z emisją dużych ilości CO<sub>2</sub> powinno, jeśli to tylko możliwe, być produkowane na jak najbardziej lokalnym poziomie. Za to wszystko, co „lekkie”, szczególnie pomysły i wiedza, powinny być dzielone na poziomie globalnym!

Jeśli naszym celem jest reindustrializacja, musimy pamiętać, że przemysł XXI w. nie będzie tym samym, co model produkcji masowej panujący w gospodarce XX w. Ten ostatni nie pasuje do naszych czasów, a obietnica reindustrializacji leży w produkcji jako elemente zamkniętego obiegu gospodarki. Ważne miejsce przypada tu nowym modelom biznesowym, łączącym produkty i usługi, jak leasing i sharing – współdzielenie.

Postulowane zmiany systemu gospodarczego opierają się na dwóch filarach. Pierwszy obejmuje rozwój miejskiej gospodarki o obiegu zamkniętym. Tak samo ważny jest drugi filar: ekonomia slow, a to dlatego, że gospodarka o obiegu zamknię-

tym nie jest zrównoważona, jeśli jej kolejne etapy następują zbyt szybko po sobie (np. recykling metali pochłania wiele energii i powoduje zanieczyszczenia). W dodatku gospodarka o obiegu zamkniętym sama w sobie jest neutralna wobec celów społecznych i poszukiwań lepszego życia.

## Filar pierwszy: miejska gospodarka cyrkularna

Gospodarka ekologiczna utrzymuje surowce w ramach obiegu gospodarczego jako odpowiedź na braki w dostawach i problem odpadów. Pewne rzeczy, które obecnie są oczywiste (np. wydobycie surowców, spalanie odpadów) w dużej mierze będą należeć do przeszłości. Zamknięty obieg jest jednak silny na tyle, na ile silna jest jego najsłabsza część. Trzeba więc zmierzyć się z przynajmniej trzema fundamentalnymi wyzwaniami.

### • Stworzenie produktów o zamkniętym cyklu: ekodesign

Zielona gospodarka zaczyna się od ekodesignu, w którym skutki ekologiczne analizowane są w procesie zarówno wytwarzania, jak i zagospodarowania zużytego produktu. Powoduje to, że wytwarzane w zrównoważony sposób produkty są trwałe, a dzięki designowi modułowemu pozwalają na łatwe rozłożenie i wymianę części. A więc zamiast wyrzucać krzesło po pierwszym użyciu, możemy nabyć na rynku model (Herman Miller), który może być kompletnie rozmontowany i w 99% poddany recyklingowi.

### • Miasta jako nowe źródła surowców: górnictwo miejskie

Zamiast składowania lub eksportowania zużytych produktów zadaniem zamkniętego cyklu jest zatrzymanie wszystkich wartościowych surowców w obiegu w tym samym mieście. W tej koncepcji „miejskiego górnictwa” rzadkie surowce są używane powtórnie: od demontażu poprzez ponowne użycie aż do przetopienia. Jako że wymagana do tego jest pewna skala, można to zorganizować w regionalnych sieciach miast, z których każde specjalizuje się w określonej formie „regeneracji”. W Belgii firma Umicore rozpoczęła nowe życie – z firmy wydobywczą stając się światowym liderem na polu recyklingu metali (zob. przykład nr 2).

### • Nowa miejska produkcja: małe fabryki high tech

Dzięki połączeniu nowych technologii i modeli biznesowych, np. drukowania 3D, inteligentnego software’u czy fab labów, przyszłość może należeć do niewielkiej produkcji high tech powstającej w mikrofabrykach. Pozwala to na masowe nakierowanie produktu na użytkownika. Np. pewna belgijska firma, która wytwarzała protezy zębów w Chinach ze względu na niższe koszty pracy, teraz przywróciła produkcję na rodzimym gruncie, wprowadzając produkcję protezy 3D. Ta nowa forma produkcji daje niewiarygodne możliwości naprawy i konserwacji, gdyż małe części można wyprodukować na żądanie.

Internet i software oparty na wolnym dostępie także pozwala na projektowanie i produkcję peer-to-peer, w których eksperci z całego świata mogą współpracować przy tworzeniu nowych produktów (np. ekowydajny samochód Wikispeed).

## Filar drugi: gospodarka o spowolnionym rytmie

Stworzenie zamkniętego cyklu gospodarczego jest świetnym pomysłem, ale to nie wystarczy. Cykle gospodarcze mogą wywierać znaczną presję na środowisko i pochłaniają ogromne ilości energii. Recykling także może czasami spowodować wynik końcowy niższej jakości. Dlatego zielona ekonomia wymaga maksymalnego spowol-

nienia rytmu gospodarki. Gospodarka *slow* obejmuje też poszukiwanie lepszego, bardziej zrównoważonego stylu życia w bardziej równym społeczeństwie. Liczą się tutaj cztery elementy.

### • Kupuj mniej (lub wcale!), dziel się, wymieniaj i dawaj

Niekupowanie: wydaje się, że to najgorsza propozycja dla biznesu. Ale wszystko się zmienia – firmy takie jak Patagonia zachęcają swych klientów, by nie kupowali czegoś, czego nie potrzebują! Jeśli kupujemy produkty, możemy się nimi dzielić. Konsumpcja kolaboratywna rośnie, tworząc więcej zrównoważonych stylów życia oraz odciążając i spowalniając cykl. Pokazuje to, że gospodarka ekologiczna to nie tylko kwestia trybów produkcji i produktów, lecz także zrównoważone style życia i społeczeństwa, które je wspierają. To obywatele rozważają kwestię tego, jak prowadzić dobre życie, nie będąc niewolnikiem społeczeństwa nadmiernej konsumpcji. Tak więc, dzięki dzieleniu się samochodami i narzędziami, można zaoszczędzić pieniądze i prowadzić dobre życie przy mniejszej sile nabywczej. Być może uda się nam pracować krócej, a wolny czas przeznaczyć na wolontariat i nabywanie nowych umiejętności technologicznych w laboratoriach. Przyczynia się to do rozwoju tzw. *high tech low budget urbanity*, czyli miejskości opartej na rozwiniętych technologiach i niskim budżecie.

### • Nowe modele biznesowe: społeczeństwo leasingu

Dzięki modelowi opartemu na leasingu tworzy się nowy związek między producentami a konsumentami. Producenci pozostają właścicielami swoich produktów, co zachęca ich do pracy nad tym, by były one bardziej surowcowo wydajne i długotrwałe oraz by zoptymalizować ich użycie i umożliwić ich łatwiejsze przerobienie lub recykling. Jednak potrzebujemy szczególnych regulacji, które zapobiegą niepożądanym skutkom, takim jak efekt odbicia spowodowany przez efekt odbicia oraz potencjalny negatywny wpływ społeczny. Np. firma Xerox osiągnęła wyjątkowe wyniki dzięki leasingowi fotokopiarek wprowadzonemu w miejsce ich sprzedaży (zob. przykład nr 3).

### • Miejska sieć napraw

Wydaje się to oczywiste, ale odwrotnością obecnej sytuacji jest naprawa zepsutych produktów. Tak więc wyzwaniem dla miasta jest stworzenie możliwości naprawiania wszystkich produktów używanych na jego terytorium. To pociąga za sobą utworzenie miejskiej sieci napraw (jaka istnieje np. w Wiedniu). Tworzy ona nowe miejsca pracy dla technicznie uzdolnionych ludzi (lub szkoli tych, którzy takich umiejętności nie posiadają) i prowadzi do nowych relacji z kupowanymi dobrami.

### • Prawa własności intelektualnej

Rzecz jasna pożyteczne nowości, jak górnictwo miejskie, wymagają sporo technologicznej innowacji, na przykład wytapiania metali z resztek urządzeń elektronicznych. Prawa własności intelektualnej mogą chronić zainwestowane w innowację środki, ale jednocześnie stanowią obciążenie dla nowych przedsięwzięć wprowadzających innowacje i nie dopuszczają do dzielenia się wiedzą. A więc nowe sposoby dzielenia się wiedzą, np. kooperatywy, mogłyby stać się innowacyjnym sposobem na pójście do przodu.

## Ekonomia polityczna miejskiej zielonej gospodarki

Miejska gospodarka cyrkularna daje szansę na zwiększenie zatrudnienia, chociaż może pojawić się także zjawisko zmniejszenia liczby miejsc pracy. W sektorze surowców główna szansa opiera się na wykorzystaniu już użytych surowców (górnictwo miejskie, ubrania). W produk-

cji rynku przetwarzania i odnawiania będzie rósł. W sektorze usług zaś połączenie usługi z produktem może wytworzyć dodatkowe miejsca pracy dla nisko wykwalifikowanych pracowników, jak to ma miejsce w gospodarce społecznej.

Rynek i finanse publiczne nie zawsze mogą zaspokoić potrzeby związane z finansowaniem transformacji. Dlatego rozważa się inne sposoby. Po pierwsze, sektor spółdzielczy znowu prosperuje. Są one finansowane poprzez subskrypcje na udział kapitałowy albo na drodze regularnych wpłat obywateli. Istnieją banki spółdzielcze, jak również kooperatywy działające na polu surowców odnawialnych, mieszkalnictwa, rolnictwa i żywności.

Internet umożliwił finansowanie projektów poprzez crowdfunding. Przeznaczony on jest przede wszystkim dla małych, jednorazowych projektów, które pozyskują niewielkie datki od dużej liczby ludzi. Władze miast także mogą przeznaczyć pieniądze na finansowanie transformacji dzięki tanim pożyczkom lub stworzeniu programów gwarancji kredytowych. Duże miasta mogłyby nawet wyemitować w tym celu własne obligacje, tak że oszczędności obywateli wspierałyby budowę zrównoważonej gospodarki.

Jeszcze inną możliwością daje wprowadzenie walut lokalnych lub regionalnych, tak jak np. w brytyjskim mieście Bristol, gdzie funkcjonuje funt bristolski.

Na różnych poziomach politycznych można podjąć różnorodne działania w celu stymulowania transformacji. Na poziomie narodowym ważną rolę może odegrać system podatkowy, który przenosiłby obciążenia z pracy na korzystanie z energii i surowców. Miasta mogą oferować granty i pożyczki, działając jako pośrednik między inicjatywami lokalnymi a instytucjami udzielającymi kredytów oraz udostępniać tereny pod działalność kooperatywy. Równie istotne jak pieniądze jest zapewnienie infrastruktury dla innowacji miejskich: współdzielonych przestrzeni do pracy, lokalnych targowisk czy inkubatorów przedsiębiorczości. Również centrum eksperckie wspomagające tworzenie kooperatywy może być kluczem do przekierowania rozwoju ekonomicznego we właściwym kierunku.

## Poza utarte schematy

W gospodarce chodzi o zaspokojenie naszych potrzeb – tego uczyliśmy się na podstawowym kursie ekonomii. Pokazuje to, że ekonomia jest pojęciem szerszym niż to, co dzieje się na rynku. Tak zwane miękkie struktury (miejsca wymiany, dzielenia się i solidarności) zapewniają, że wiele potrzeb w mieście zostaje zaspokojonych w nieklasyczny ekonomicznie sposób. Jeśli ludzie z dzielnicy uruchomią „bibliotekę narzędzi”, nie potrzeba im większej siły nabywczej, by mieć urządzenia, których czasami potrzebują. Najlepszy sposób na zrozumienie tych modeli organizowania miast się w pojęciu *miejskich dóbr wspólnych*. Innym przykładem miejsca, gdzie można wymienić mnóstwo potrzeb i umiejętności, są systemy typu LETS (Local Exchange Trade System – lokalny system wymiany handlowej). Na poziomie globalnym podobnie Wikipedia pokazuje, że otwarta produkcja oparta na zasadzie peer-to-peer może wykreować nieoczekiwane skutki.

Filozof Benjamin Barber pisze w swojej ostatniej książce *If Mayors Ruled the World* (Gdyby burmistrzowie rządili światem), że miasta wchodzą w te pola polityki, w których poszczególne kraje sabotują się nawzajem. Tak więc gdy międzynarodowe rozmowy klimatyczne kończą się nikłym postępem, coraz więcej miast dąży do tego, by nie przyczyniać się globalnego ocieplenia. Mogą także przejąć przywództwo i stać się miejscem, w którym gospodarka ekologiczna będzie częścią miejskiego renesansu XXI w.



**PRZYPADK 1.**

**Almere i Prato: tekstylny recykling**

We wrześniu 2012 r. burmistrzowie miast Prato i Almere podpisali list intencyjny o ustanowieniu innowacyjnej współpracy. Zużyte ubrania, najczęściej nienadające się do użytku, są zbierane w Holandii z różnych źródeł. Następnie lokalna firma dzieli je wedle tkanin i kolorów. Ubrania te są cięte i przepuszczone przez oddzielne cylindry tnące, a części nie-tekstylne zostają usunięte. Tkaniny są potem testowane pod kątem ich zawartości i niebezpiecznych elementów, zanim zostaną sprasowane w bele i wysłane do przędzalni we włoskim Prato. W trakcie przędzenia łączy się je z innymi tkaninami, by poprawić jakość produktu. Przędza ta jest tkana w ubrania, które wystawia się na sprzedaż. Jako że Prato jest miastem mody, przetworzone tkaniny z recyklingu trafiają do samego serca przemysłu odzieżowego. Jedną z innowacji jest to, że ubrania noszą znak jakości, który wskazuje udział przędzy z recyklingu. Firma, która je wprowadza na rynek, używa systemu śledzenia towaru. W ten sposób sieć sklepów może zamówić gwarantowany procent recyklowanej przędzy.

**PRZYPADK 2.**

**Górnictwo miejskie**

W Antwerpii firma Umicore przekształciła się ze stuletniego właściciela kopalni w światowego lidera w obszarze metali odzyskanych z telefonów komórkowych i baterii samochodów elektrycznych. W ten sposób miasta stają się nowym źródłem surowców (górnictwo miejskie). Umicore koncentruje większość swoich wysiłków w obszarze badań i rozwoju na czystych technologiach. Koncentrują się one na katalizatorach kontrolujących emisję, materiałach do akumulatorów (by przechowywać energię) i fotowoltaice (tworzącej czystą energię), komórkach paliwowych (wytworzących energię z wykorzystaniem wodoru) oraz odzyskiwaniu rzadkich metali ze zużytych produktów, takich jak baterie. Zamykanie pętli materiałowej stanowi główną część strategii biznesowej. „Oferuje istotną usługę dla wielu klientów, a nam daje kluczową przewagę konkurencyjną”.

**PRZYPADK 3.**

**Leasing: nowy sposób na zakupy w mieście**

Inteligentne użycie produktów jest ważnym krokiem w kierunku gospodarki o zamkniętym obiegu. Przykładem jest leasing. Jednakże inwestycja może być duża, a istniejące zainteresowanie oraz zachowanie konsumentów to czynniki, których nie można zignorować. Firma Mud Jeans dowodzi, że pomimo tych niedogodności można założyć firmę, która odniesie sukces. W Amsterdamie i Gandawie Mud Jeans rozpoczęła leasing dzinsów: klienci płacą określoną sumę z góry i potem niewielką kwotę co miesiąc za dzinsy wykonane z biologicznej i recyklowanej bawełny. Naprawy są za darmo, a po roku można nabyć nowy model.

Innym przykładem jest system produktu-usługi firmy Xerox, która dostarcza „usługi zarządzania dokumentacją”. Leasing zawiera pełen serwis i gwarancję zadowolenia klienta w kwestii urządzeń. Klient płaci określoną cenę za kopię. Po zakończeniu umowy leasingu Xerox zabiera produkt, by go przerobić. Odzyskuje materiały użyte do jego wytworzenia, by ponownie je wykorzystać do wyprodukowania nowego sprzętu. Dlatego też Xerox opracował design produktu, który ułatwia rozłożenie go na części i recykling. Liczby robią wrażenie: połowę rocznego przychodu stanowią obecnie wpływy z najmu i leasingu, 94% nieszkodliwych odpadów podlega recyklingowi, ponad 2,2 mln kartridży i zasobników jest zwracane, a 1,3 funtów tonera ponownie użyte.

Artykuł *Cities as eco-factories of the future* ukazał się w „Green European Journal”. Przetł. Katarzyna Sosnowska.

•••••  
**Dirk Holemans jest koordynatorem w think tanku belgijskich Zielonych Oikos.**

# Miasta wobec starości



**Rafał Bakalarczyk**

**Społeczeństwa się starzeją, a zatem także starzeją się miasta i lokalne wspólnoty. Ich struktura wiekowa zmienia się, coraz więcej w nich osób starszych i najstarszych. Czy nadąża za tym myślenie i działania władz i wszystkich tych, od których zależy społeczne otoczenie?**

**Globalne wyzwania, lokalne odpowiedzi**

Choć mówimy o polityce lokalnej, wyzwanie to ma ponadlokalny wymiar. Zajął się nim jedna z agend Organizacji Narodów Zjednoczonych, mianowicie Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), która od kilku lat promuje koncepcję tzw. age friendly cities and communities. Termin ten bywa różnie tłumaczony: jako miasta przyjazne ludziom starszym, starzeniu się czy też ludziom w różnym wieku.

Nie bez znaczenia jest, którą z wykładni przyjmujemy, gdyż wyznacza to perspektywę patrzenia na zagadnienie. Miasto przyjazne starzeniu się czy ludziom w każdym wieku wydaje się obejmować szerszy zakres działań niż to skierowane tylko i bezpośrednio do osób, które już są starsze. Aczkolwiek bez wątpienia to właśnie doświadczenie i potrzeby osób w jesieni życia leżą w sercu tej koncepcji.

To na bazie doświadczeń seniorów napisano raport – przewodnik, który dostarcza także ogólnych wytycznych i wskazówek, jak kształtować środowisko wedle wspomnianej koncepcji. Składa się na nią kilka powiązanych obszarów kluczowych, którym zostały poświęcone kolejne rozdziały blisko 80-stronicowego dokumentu. Są to: przestrzeń publiczna, transport i komunikacja, mieszkalnictwo, partycypacja społeczna, szacunek i integracja społeczna, aktywność obywatelska i zatrudnienie, komunikowanie się i informacja, wsparcie społeczności i usługi zdrowotne.

Gdy zaczynamy myśleć o osobach starszych w przestrzeni lokalnej, nieraz robimy to zbyt wąsko: koncentrując się albo na tym, co jest najczęściej obszarem zainteresowań ruchów miejskich, czyli przestrzeni publicznej, transporcie i komunikacji albo na projektach istotnie skierowanych do osób starszych, ale nieprzeobrażających otoczenia ich życia w wymiarze infrastrukturalnym i społecznym. Podejście promowane przez WHO

jest znacznie bardziej całościowe, nie da się go ograniczyć do instytucji adresowanych szczególnie do tej grupy wiekowej, w rodzaju klubów seniora.

**Miasta uczą się od siebie**

Jak podaje dr Paweł Kubicki z SGH, zgodnie z tą koncepcją we wszystkich obszarach polityka lokalna powinna uwzględniać różnorodność osób starszych, przeciwdziałać ich wykluczeniu i promować wkład osób starszych w życie społeczności, szanować wybory, decyzje i sposób życia osób starszych, przewidywać i elastycznie reagować na ich potrzeby.

Najważniejszym praktycznym krokiem w kierunku realizacji tej idei było powołanie globalnej sieci miast i społeczności przyjaznych starzeniu się (Global Network of Age-friendly Cities and Communities) w celu wymiany doświadczeń i wzajemnego uczenia się miast na całym świecie. Każde miasto, zaangażowane w realizację celów przyświecających sieci, może do niej formalnie dołączyć.

Warto jednak pamiętać, że model miast przyjaznych starzeniu się jest jedynie matrycą, która wyznacza pewne ramy, mogące inspirować i pomóc porządkować lokalne strategie i działania. Trzeba nakładać ją na istniejące w danej społeczności potrzeby i pojawiające się oraz zmieniające okoliczności. Ważne jest tworzenie skutecznych kanałów, za pomocą których mogłyby być rozpoznawane, artykułowane i konsultowane owe preferencje, potrzeby, pomysły, niekiedy problemy.

**Rady seniorów**

Pewne nadzieje można wiązać ze stosunkowo młodą w Polsce formułą, jaką są rady seniorów przy jednostkach samorządu terytorialnego. Pod koniec 2013 r. znowelizowano polskie ustawodawstwo, dając czytelne podstawy prawne do powoływania tego typu ciał, a także tworząc ogólne zobowiązanie dla gmin do wspierania solidarności międzypokoleniowej i tworzenia warunków do pobudzania aktywności obywatelskiej osób starszych.

Już na starcie warto jednak nie zapominać, że partycypacja i włączenie seniorów do życia społeczności nie może się sprowadzać wyłącznie do powoływania formalnych ciał, które miałyby je reprezentować, nawet z udziałem ich przedstawicieli. Potrzebne jest całe spektrum oddolnych działań, inicjatyw, ruchów społecznych o mniej lub bardziej formalnym charakterze, ale za to zakorzenio-

nych na najniższym poziomie. W przeciwnym razie grozi nam wyobcowanie się tych ciał względem tkanki społecznej i tych, którym mają służyć.

Kluczowe jest też stworzenie mechanizmów koordynacji działań i informowania o nich obywateli, w tym zwłaszcza samych osób starszych, które często, choćby za względu na obecne w tej grupie wiekowej wykluczenie cyfrowe, a niekiedy także ograniczoną fizyczną mobilność, mają uszczuplone możliwości docierania do informacji dla nich ważnej i atrakcyjnej.

**Wrocławski eksperyment**

W polskich miastach są dobre przykłady prób wyjścia temu naprzeciw. Wrocław jakiś czas temu powołał tzw. Wrocławskie Centrum Seniora. Jest ono punktem udzielania informacji – dotyczącej opieki, kultury, edukacji, a także zdrowia. Stanowi zaplecze logistyczne dla wrocławskiej rady ds. Seniorów i miejsce prowadzenia kursów i konsultacji komputerowych. Tu także wydawane są mieszkańcom „karty seniora”, dające możliwość korzystania po zniżkowych cenach z oferty kulturalnej, rekreacyjnej, sportowej.

Ta ostatnia forma wsparcia jest ważna także dlatego, że wielu ludzi starszych ma niewielkie przychody, których lwia część i tak idzie na leki czy trudne do ograniczenia koszty mieszkaniowe. Rabaty na różne usługi pozwalają włączyć seniorów i seniorki w życie społeczne i podnosić jakość ich życia.

Wbrew niektórym wyobrażeniom nieraz nie wystarczy zaproponowanie ciekawej i atrakcyjnej oferty, trzeba jeszcze pomyśleć, jak usunąć te twarde i miękkie bariery, które utrudniają czy wręcz uniemożliwiają korzystanie z niej. Czasem są to bardzo prozaiczne, ale uciążliwe przeszkody jak choćby brak ławek na trasie czy toalet w miejscu, gdzie odbywa się dany event. Nieraz jednak bariery są głębsze. Trudna sytuacja socjalna i mieszkaniowa, zły stan zdrowia i ograniczona samodzielność, a także brak asysty osób trzecich w niektórych czynnościach (np. przejechaniu autobusem do bardziej odległej części miasta) oraz bariery psychologiczne to czynniki, których nie można lekceważyć.

•••••  
**Rafał Bakalarczyk – doktorant w Instytucie Polityki Społecznej UW, zajmuje się polityką społeczną, w tym polityką edukacyjną, wykluczeniem społecznym i ekonomią opieki oraz skandynawskim systemem dobrobytu.**



•••••  
fot. Magda Mosiewicz

# Od zielonej rewolucji przemysłowej do rewolucji ekologicznej



Fot: Flickr.com by Greens MPs



**Benoît  
Lechat**

**Zazielenienie przemysłu stanowi klucz do tego, byśmy mogli powstrzymać zmiany klimatu i zachować kwitnące społeczeństwo. Aby to osiągnąć, potrzebujemy nowego podejścia do środowiska.**

Wiele z powstających od końca lat 70. w Europie partii Zielonych stawiało sobie za cel przeciwstawianie się negatywnym skutkom industrializacji dla środowiska i dla ludzi. Zieloni walczyli z zanieczyszczeniami fabrycznymi i wielu spośród politycznych przeciwników traktowało ich jako zagrożenie dla miejsc pracy oraz dla gospodarki, głównie w uprzemysłowionych częściach Europy. Trzydzieści lat później obraz jest raczej odwrotny: potrzebujemy innego rodzaju przemysłu, aby podjąć wyzwanie ekologiczne i dać Europie nową prosperitę. Nawet jeśli teraz, w 2013 roku, opór wobec tego projektu wydaje się rosnąć, Zieloni muszą wytrwać na czele ekologicznej transformacji przemysłu europejskiego. Dlaczego i jak tego dokonać?

## Palące wyzwania

Nie popadając w pułapkę katastrofizmu, uwaga poświęcona wyzwaniom ekologicznym, jakie stoją przed nami w tym stuleciu, nigdy nie jest zbyt mała. Jeśli chcemy ograniczyć globalne ocieplenie do 2 st. Celsjusza, cała ludzkość musi zmniejszyć emisję gazów cieplarnianych o połowę do 2050 r. Jak prawie wszyscy wiemy, państwa uprzemysłowione muszą podjąć więcej wysiłku i zmniejszyć redukcję o 80%. Dla Europy oznacza to poważne ograniczenie: od średnio 10 ton CO<sub>2</sub> per capita (do którego powinniśmy doliczyć dalsze 4 tony, jeśli uwzględnić ślad ekologiczny importowanych dóbr) w 2008 r. do 2 ton. Według raportu Międzynarodowej Agencji Energii (IEA), by osiągnąć te 2 st. Celsjusza, redukcja emisji węgla na jednostkę PKB powinna wynosić dziś 2,8% rocznie – a więc dwukrotnie tyle,

ile udawało się osiągnąć w ciągu ostatniej dekady – i rosnąć do 5,5% w latach 2020-2035.

Patrząc szerzej niż tylko na poziom emisji, statystyki dotyczące TMR (Total Material Requirement – ogólnego zapotrzebowania na materiały do produkcji) Unii Europejskiej, mierzące wszystkie przepływy zasobów w związku z europejskimi wzorami produkcji i konsumpcji, mogą przyprawić o zawrót głowy. Wychodzi tego 22 miliardów ton, czyli tyle, ile zmieści się na pociągu towarowym o długości 9 milionów kilometrów!

## Zamykanie fabryk nie pomaga

Możemy i musimy rozważyć udział każdego z nas w zwiększonej wydajności energetycznej i zmniejszonej konsumpcji, które są niezbędne do tego, byśmy osiągnęli cele zrównoważonego rozwoju. Jednak oczywistym jest, że to przemysł odegra kluczową rolę. Nawet jeśli w ostatnich dekadach zamknięcie trujących fabryk oraz globalna recesja przyczyniły się do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych w Europie, mamy powody, by sądzić, że dezindustrializacja nie stanowi rozwiązania, które pomoże nam osiągnąć cele ekologiczne.

Pierwszym powodem jest to, że nie mamy, przynajmniej obecnie, żadnego rzeczywistego pomysłu na to, jak finansować europejskie państwa dobrobytu bez wpływu z podatków od przemysłu. Długookresowe wzmocnienie finansowania państw dobrobytu wymaga stopniowego przesuwania od podatków od pracy do innych źródeł ściągania podatków, a to zadanie na wiele lat.

Drugim powodem, ściśle powiązanym z pierwszym, jest to, że przejście do bardziej wydajnego gospodarowania zasobami w przemyśle budzi nadzieję na stworzenie nowych, zielonych miejsc pracy. Nawet jeśli wiemy, że pewne istniejące obecnie miejsca pracy znikną w tym procesie, liczne analizy wskazują na to, że ostateczny bilans będzie pozytywny.

Trzeci powód: przejście do modelu trwałego rozwoju absolutnie wymaga istnienia wiedzy eksperckiej i produktów euro-

pejskiego przemysłu. Niektórzy spośród wielkich konsumentów energii i zasobów, np. przemysł hutniczy, są kluczowi dla globalnej redukcji konsumpcji. Nawet zwolennicy gospodarki bezwzrostowej muszą to przyznać. Zawsze będziemy potrzebować odnawialnych źródeł energii, bardziej energooszczędnych domów i budynków użyteczności publicznej oraz radykalnie wydajniejszych jeśli chodzi o zużycie zasobów wzorców produkcji i konsumpcji.

Czwarty powód to fakt, że ekologicznie przeciwproduktywne byłoby importowanie dóbr przemysłowych z innych części świata, gdzie obowiązują niższe standardy.

Piąty powód: sektor przemysłowy stał się już głównym graczem w poprawianiu produktywności zasobów. W ostatnich 20 latach emisje CO<sub>2</sub> zmniejszyły się w produkcji i budownictwie o 25,1%, a o 12,1% w mieszkalnictwie, usługach i rolnictwie, natomiast wzrosły o 23,8% w transporcie.

Tak więc bez silnej i innowacyjnej bazy przemysłowej, zdolnej do przywództwa w obszarze wydajności zasobów, nie będzie przejścia w kierunku zrównoważonego rozwoju w Europie.

## Zielony Nowy Przemysł

Projekt Nowego Zielonego Ładu musi być kontynuowany w ramach „trójpakietu” obejmującego regulację sektora finansowego, zapobieganie wykluczeniu społecznemu oraz transformację przemysłową.

Liczne konkretne doświadczenia i sukcesy przemysłu pokazują, że jest to możliwe. Jednak jest to zarazem trudny i długofalowy proces. Opór, z jakim Zieloni stykają się w całej Europie – na przykład w odniesieniu do transformacji energetycznej – jest oznaką tego, że prawdopodobnie znajdujemy się w samym środku tego, co niektórzy ekonomiści nazywają „konfliktami innowacji” między potencjalnymi beneficjentami a tymi, którzy mogą stracić na przejściu do nowego rodzaju ekonomii. Jak w przypadku poprzednich transformacji, lobbyści starych sektorów – tym razem chodzi o przemysł oparty na węglu i energii atomowej – często mają silne oparcie w sferze politycznej.

Opór ten przynajmniej częściowo wyjaśnia, dlaczego nadal brakuje nam wymaganych dla celów nowej rewolucji ekonomicznej narzędzi. Musimy rozwinąć prawdziwą politykę industrialną, nie tylko na poziomie krajowym, ale również europejskim – jest to jednak sprzeczne z neoliberalną mentalnością, jaka panuje obecnie w instytucjach europejskich. Nowa polityka przemysłowa Europy musi obejmować politykę w dziedzinie badań, zaopatrzenia, standardów i rynku pracy. Musi ją także wspierać zupełnie inna polityka społeczna i fiskalna.

Tak jak Nowy Ład Roosevelta miał na celu zinternalizowanie społecznych kosztów pracy, Zielony Nowy Ład dąży do zinternalizowania zewnętrznych kosztów, jakie ponosi środowisko w procesie produkcji. Ta historia nie skończy się, dopóki nie rozdzielimy wzrostu gospodarczego od naszego śladu ekologicznego. Ale w tej chwili nie ma zupełnie bezpośredniego powiązania między polepszeniem wydajności zasobów a redukcją emisji CO<sub>2</sub>. Wręcz przeciwnie. Na przykład Luksemburg jest europejskim mistrzem, jeśli chodzi o produktywność zasobów, ale najgorzej wśród europejskich państw radzi sobie z poziomem emisji na mieszkańca (w 2009 r. było to 21,7 ton na głowę). Z drugiej strony Bułgaria, która wydziela średnio 6 ton na mieszkańca, ma najgorszą produktywność zasobów.

## Ekopodatki i sprawiedliwość społeczna

Oczywistym jest, że ta sytuacja nie zmieni się bez odpowiedniego wycenienia węgla, gdyż jest to jedyna naprawdę wydajna droga do opanowania słynnego efektu odbicia – w którym wydajność zasobów nie prowadzi od redukcji emisji, lecz do ich wzrostu.

Jednakże zielone opodatkowanie jest w Unii Europejskiej niższe niż było 10 lat temu. Można tę ewolucję wyjaśnić wyczerpywaniem się nieodnawialnych zasobów. Wiemy jednak również, że pewne próby wprowadzenia lub wymuszenia podatków ekologicznych spotkały się z oporem ze strony różnych krajów europejskich. W kontekście rosnących nierówności dochodowych nie jest łatwo

dokonywać prawdziwego zwrotu w polityce podatkowej.

Dopóki nie stworzymy wyraźnego powiązania między podatkami ekologicznymi a sprawiedliwością społeczną oraz zmniejszeniem nierówności, wątpliwe jest, by doszło do internalizacji kosztów środowiskowych wszystkich procesów produkcyjnych. Jest to temat na poważną debatę, jaką Zieloni powinni zorganizować np. ze związkami zawodowymi. Tu dobra wiadomość – ruchy pracownicze nie są już tak bardzo przywiązane do wizji społeczeństwa przemysłowego, jak jeszcze w latach 90. XX w. Z tego względu mogą stać się partnerem dla sensownego porozumienia, dzięki któremu uda się nam dokonać zmian w opodatkowaniu, służących oddzieleniu wzrostu gospodarczego od wzrostu emisji gazów cieplarnianych.

## Projekt kulturowy?

Przejście do zielonej gospodarki nie ograniczy się wyłącznie do zmian technologicznych, takich jak rozwój energetyki odnawialnej. Jej warunkiem są również zmiany fiskalne, społeczne i kulturowe.

Na tym poziomie głównym wyzwaniem jest być może to, jak zmienić obecną koncepcję społeczeństwa przemysłowego oraz leżącego u jego podwalin marzenia o poskromieniu natury. Społeczny postęp w społeczeństwie Nowego Ładu opierał się na niekończącym się wzroście energii z kopalni oraz systematycznej organizacji efektu odbicia – jako skutku pełnej transformacji naturalnych fundamentów ludzkiego życia. Próbuje właśnie zbudować nową relację człowieka z przyrodą. Właśnie to sprawia, że projekt zielonej reindustrializacji sięga do samych korzeni zielonej polityki.

.....  
**Benoît Lechat jest belgijskim dziennikarzem i działaczem ekologicznym, redaktorem naczelnym „Green European Journal”.**

Artykuł „From the Green Industrial Revolution to the Ecological Revolution” ukazał się w „Green European Journal”. Przeł. Katarzyna Sosnowska.

# Spółdzielnie energetyczne – krok w stronę zielonej demokracji



**Piotr Kozak**

**Niemiecka transformacja energetyczna oznacza nie tylko zmiany technologiczne**

**i gospodarcze. Przemianie ulega również społeczny model dystrybucji i produkcji energii. Dobrym tego przykładem są spółdzielnie energetyczne.**

Pierwsze spółdzielnie energetyczne zaczęły powstawać zaraz po wejściu w 2000 r. ustawy o odnawialnych źródłach energii i liberalizacji niemieckiego rynku energii. Funkcjonowanie spółdzielni inicjują gminy, mieszkańcy oraz podmioty prawne, które mogą wykupywać udziały w spółdzielniach oraz czerpać zyski z produkcji i dystrybucji energii. Zaletą takiego rozwiązania jest prostota oraz brak wymogu posiadania specjalistycznej wiedzy z zakresu prowadzenia działalności gospodarczej czy energetyki odnawialnej. Spółdzielnie zapewniają serwis technologiczny, produkują energię odnawialną, zajmują się dystrybucją i sprzedają energię.

Do początku 2014 r. zarejestrowane były w Niemczech 942 spółdzielnie energetyczne, w tym 690 spółdzielni produkujących energię odnawialną. Instalacje spółdzielcze wyprodukowały w 2012 r. 580 milionów kWh, co statystycznie odpowiada rocznemu zapotrzebowaniu na energię elektryczną 160 tysięcy gospodarstw domowych. Wzrost dynamiki jest dynamiką wzrostu liczby spółdzielni: jeszcze w 2010 r. było 249 spółdzielni energetycznych produkujących energię odnawialną. Spośród wymienionych 690 spółdzielni ponad 480 funkcjonuje w oparciu o ogniwa fotowoltaiczne. Popularna jest również produkcja biomasy (150 spółdzielni) oraz energii wiatrowej (114 spółdzielni). Od 2012 r. w związku ze zmianą prawa energetycznego w Niemczech spada dynamika wzrostu spółdzielni solarnych, a wzrasta ilość spółdzielni opierających swoją działalność na energii wiatrowej.

Większość, bo aż 91% spółdzielni zostało zarejestrowanych od r. 2006. W samym 2013 r. zarejestrowano 177 spółdzielni. Dynamiczny wzrost liczby spółdzielni od 2006 r. związany jest z dwoma czynnikami. Po pierwsze, w Niemczech dokonuje się transformacja energetyczna i zwiększa się świadomość ekologiczna mieszkańców w zakresie produkcji energii pochodzącej ze źródeł odnawialnych. Po drugie, w 2006 r. przyjęto kolejne akty prawne regulujące powoływanie i organizację spółdzielni energetycznych.

## Demokracja energetyczna

Większość z niemieckich spółdzielni jest skoncentrowana na oddolnej produkcji energii odnawialnej. Związane jest to przede wszystkim ze wzrostem zainteresowania lokalnymi i zdecentralizowanymi źródłami produkcji energii, ale również z tradycją ruchu spółdzielczego w Niemczech. W konsekwencji spółdzielnie posiadają demokratyczną i otwartą strukturę. Członkostwo jest otwarte tak dla pojedynczych osób, jak i dla stowarzyszeń i podmiotów prawnych. Zgodnie z pra-

wem spółdzielczym każdy członek spółdzielni ma tylko jeden głos na walnym zgromadzeniu, co oznacza, że decyzje podejmowane są demokratycznie, bez względu na to, ile kto wnosi finansowo do danej spółdzielni. Chroni to kooperatywy przed przejęciem lub dominacją pojedynczych udziałowców. W praktyce uniemożliwia również wrogie przejęcie spółdzielni.

Istotną jest również zmiana sposobu myślenia o zyskach. Od innych form biznesowych spółdzielnie odróżniają przede wszystkim skoncentrowanie na wartościach wykraczających poza krótkoterminowy zysk, takich jak samopomoc dla członków spółdzielni. Podstawowym celem jest zapewnienie taniej i ekologicznej energii dla wspólnoty mieszkańców. Spółdzielnie energetyczne mogą być dla nich szczególnie korzystne jako metoda uniezależnienia się od awarii i dostaw ze strony wielkich operatorów.

Posiadając alternatywne źródła energii we własnych, sąsiedzkich czy gminnych rękach, można realnie zwiększyć swoje bezpieczeństwo. Jest to istotne szczególnie w kontekście polskim, gdzie w przypadku małych miejscowości dochodzi do awarii prawie 10-krotnie częściej, a jakość dostarczanej energii jest niska. Standardowe napięcie to 230 V, zaś na wsiach często zdarza się, że jest to poniżej 180 V.

## Siła spółdzielni

Większość niemieckich spółdzielni to małe lub średnie organizacje. W r. 2010 ponad 60% spółdzielni liczyło od 3 do 100 członków. Ta liczba się jednak zmienia. Liczba spółdzielni z liczbą członków od 3 do 100 zmniejszyła się w okresie 2010-2012 z 62% do 50%. Wzrosła z kolei liczba spółdzielni z liczbą członków od 101 do 200 – z 23% w 2010 r. do 30% w 2012 r. Spółdzielnie większe niż 200 osób to mniejszość, ale i tak ich udział wzrósł z 15% w 2010 r. do 19% w 2012 r. Pomiędzy rokiem 2010 a 2012 65% spółdzielni zwiększyła liczbę członków. W 2012 r. do niemieckich spółdzielni energe-

tycznych należało 76500 członków. Łączny kapitał zgromadzony przez spółdzielnie energetyczne w 2012 r. w Niemczech to 693 mln euro.

Do 2012 r. 80% spółdzielni miało mniej niż 2 mln euro kapitału, ale od 2006 r. daje się zauważyć wzrost liczby spółdzielni o kapitale powyżej 2 mln. Świadczy to o tym, że możliwy jest długoterminowy zysk spółdzielni oraz zwiększanie ich potencjału ekonomicznego. Większość spółdzielni funkcjonujących między 2010 a 2012 r. cechuje się wysokim poziomem kapitału własnego, przy czym obserwuje się procentowy wzrost tego kapitału, co jest związane jest ze wzrostem liczby członków. Jedynie 40% spółdzielni posiada mniej niż 30% kapitału własnego. Blisko 20% posiada od 90% do 100% kapitału własnego. Dla porównania średni udział kapitału własnego wśród wszystkich małych i średnich firm wynosił w 2012 r. w Niemczech 23%, a dla dużych firm – 29%.

Funkcjonowanie spółdzielni oparte jest przede wszystkim na kapitale własnym, co jest związane z polityką spółdzielni, aby bazować przede wszystkim na kapitale swoich członków i w miarę możliwości nie korzystać z kapitału podmiotów trzecich. Nie daje się jednak ukryć, że pomimo tego, że spółdzielnie posiadają stosunkowo wysoki poziom kapitału własnego, to konieczne są dodatkowe środki, aby zrealizować kolejne projekty energetyczne. Przy czym głównym dostawcą funduszy są w tym przypadku banki spółdzielcze.

## Spółdzielnie są opłacalne

Celem spółdzielni nie jest maksymalizacja zysków, ale wsparcie członków spółdzielni. W tym sensie spółdzielnie cechują się inną filozofią organizacji. Nie da się jednak ukryć, że niemieckie spółdzielnie energetyczne to dochodowy interes. Co prawda w roku rejestracji spółdzielni większość, bo 55% spółdzielni generuje brak zysków bądź straty na poziomie 10 tys. euro rocznie. Jedynie 20% generuje zysk do 10 tys. euro rocznie

w pierwszym roku rejestracji. Tym samym 80% spółdzielni ma zerową lub negatywną stopę zwrotu inwestycji w pierwszym roku.

Nie jest to jednak nic dziwnego, ponieważ należy najpierw za-inwestować, aby osiągnąć zysk. Już jednak w kolejnym roku 73% spółdzielni generuje zyski. Jedna piąta z nich generuje do 10 tys. euro rocznego zysku, 44% – od 10 do 50 tys. euro rocznie w drugim roku działalności. Prawie 60% spółdzielni generuje od 1% do 10% stopy zwrotu inwestycji w ciągu dwóch pierwszych lat. Część z nich, 16% generuje ponad 10% stopę zwrotu inwestycji. Wysoka stopa zwrotu jest jednak po części zasługą dopłat państwa do produkcji energii.

## Spoleczno-ekonomiczny potencjał spółdzielni

76500 członków i kapitał 693 mln euro to wystarczające sumy, by mówić, że spółdzielnie energetyczne w Niemczech to ważny podmiot zmian społecznych i ekonomicznych. Wprawdzie całość inwestycji w energię odnawialną w Niemczech wynosiła w 2012 r. 19,5 mld euro. Istotną jest jednak dynamika wzrostu ruchu spółdzielczego. W 2012 r. już 20% spółdzielni zgromadziło ponad 200 członków oraz więcej niż 2 mln euro kapitału. Świadczy to o tym, że mają one potencjał rozwoju. Spółdzielnie produkujące zieloną energię są w Niemczech w fazie wzrostu.

Ważny jest przede wszystkim społeczno-ekonomiczny potencjał tych zmian. Spółdzielnie umożliwiają produkcję zregionalizowaną, zdecentralizowaną i lokalną. Są strukturą niepodatną na naciski ze strony dużych podmiotów finansowych. Potrafią dokonywać skutecznej alokacji kapitału przeznaczanego m.in. na produkcję energii oraz posiadają zdolność do łączenia członków, którzy są w stanie skutecznie wspierać biznesowe cele. Nie bez znaczenia jest również to, że zapewniają trwały zwrot poniesionych inwestycji.

## Czas na polskie spółdzielnie energetyczne

– Polska wersja ustawy OZE, która została zatwierdzona w dniu 8.04.2014 przez Radę Ministrów, w porównaniu z niemiecką wersją ustawy OZE, nie sprzyja rozwojowi produkcji energii odnawialnej przez zdecentralizowanych producentów – mówił w kwietniu 2014 r. dr Lutz Ribbe, który przeprowadził ocenę wdrożenia dyrektywy w sprawie odnawialnych źródeł energii w Polsce.

Do tej pory powstała w Polsce jedna spółdzielnia energetyczna. Ideę spółdzielni promuje Waldemar Pawlak, który zastanawia się nad założeniem spółdzielni z sąsiadami w celu budowy biogazowni. Rozwój energetyki realizowanej w modelu spółdzielni energetycznych postuluje również od lat prof. Krzysztof Żmijewski z Politechniki Warszawskiej. Jego zdaniem takie rozwiązania mogą być odpowiedzią na problem spodziewanego niedoboru energii elektrycznej, który już teraz jest zauważalny na obszarach wiejskich. Za szczególnie niekorzystny dla rozwoju ruchu spółdzielczego w Polsce uważa on zapis mówiący o ograniczeniu ceny sprzedawanej energii do 80% hurtowej ceny energii.

Czy rozwój spółdzielni energetycznych w Polsce jest możliwy? Ruch spółdzielczy ma w Polsce bogatą tradycję. W ostatnich latach okresu międzywojennego istniało w Polsce ponad 16 tysięcy spółdzielni. Pozostaje żywić nadzieję, że w przyszłości przynajmniej zbliżymy się do tej liczby. Jeżeli choć część z nich będą stanowiły spółdzielnie energetyczne, to w porównaniu z sytuacją obecną wykonamy milowy krok naprzód.

Źródło danych: Raport Wuppertal Institut für Klima, Umwelt, Energie GmbH, kwiecień 2014.

.....  
**Piotr Kozak - filozof, tłumacz i publicysta. Doktorant w Instytucie Filozofii Uniw. Warszawskiego.**



## Zanim postawią wiatraki

Juliusz Adel

Postawienie wiatraka na gotowych fundamentach zajmuje kilka dni. Przygotowanie terenu pod inwestycję trwa znacznie dłużej. Według przepisów obowiązujących w Unii Europejskiej zanim na wybranym terenie powstanie farma wiatrowa należy sprawdzić drogi migracji oraz lokalnie występujące ptaki. Aby to ustalić należy prowadzić długie obserwacje. Proces ten trwa rok. Żeby przedstawić rzetelny obraz występowania ptaków na danym terenie w ciągu całego roku przeprowadza się cały cykl regularnych obserwacji (np. raz w tygodniu). Najczęściej obserwacji dokonuje się rano, są jednak obserwacje wieczorne, czy też w nocy. Aby zaobserwować wszystkie występujące gatunki potrzeba fachowców; potrzeba ornitologów z wieloletnią praktyką.

Poranną obserwację należy zacząć wraz ze wschodem słońca. W październiku słońce wschodzi około 7:00, więc wstajemy kilka minut po piątej, jedziemy kilkadziesiąt kilometrów samochodem i zatrzymujemy się na poboczu. Musimy jeszcze dotrzeć na punkt obserwacyjny. Odległość jest niewielka, więc dochodzimy szybko. To mała powierzchnia na której planowane jest postawienie pięciu wiatraków. W specjalnym zeszycie zaznaczamy, temperaturę powietrza, stopień zachmurzenia, widoczność, kierunek i siłę wiatru. Wpisujemy mgłę jako kolejny czynnik atmosferyczny mający wpływ na zachowanie zwierząt. Na badanej przez nas powierzchni znajdują się trzy punkty obserwacyjne. Idziemy na pierwszy. Nie mamy narzuconej kolejności odwiedzania punktów, narzucony jest jedynie czas przebywania na powierzchni: pięć godzin na punktach (na dwóch punktach po dwie godziny i na jednym godziną; oczywiście przy każdej obserwacji zmienia się „jednogodzinny” punkt) i godzinę na transektach, czyli obserwacja prowadzona podczas marszu.

W specjalnie przygotowanym zeszycie notujemy migrujące skowronki, krążące po niebie szpaki i żółty, podrywające się z ziemi trznadle, myszłoty cierpliwie wypatrujące swoich ofiar, przelatujące świergotki, siedzące na drzewie sówki.

Po zmianie punktu obserwujemy kolejne, nie występujące wcześniej gatunki. Jest tu bogatka, kwiczoł, kos, patrzymy na migrującego krogulca. Doświadczony ornitolog wyłapuje pojedyncze dźwięki z okolicznych drzew i krzaków skrzętnie notując kolejne występujące tu gatunki. Przez chwilę wodzimy wzrokiem za przemieszczającymi się po polu sarnami.

Po sześciu godzinach spędzonych na powierzchni mamy zapisanych ponad 150 zdażeń, w których występowały ptaki. Najczęściej występowały sówki, skowronki i szpaki. Na sam koniec, już niemal przy zejściu z powierzchni zauważamy dwa dorosłe osobniki bielika podrywające się z ziemi. Jak się chwilę potem okazało żerowały na leżącej na polu padlinie.

Był to jeden z około pięćdziesięciu dni potrzebnych obserwatorom do opracowania raportu o występujących na danym terenie gatunkach. Na tej podstawie Urząd resortu ochrony środowiska wyda zgodę lub daje odmowną opinię dotyczącą budowy wiatraków. Jest to oparte o Europejską Dyrektywę mającą na celu chronienie zagrożonych gatunków. Wystąpienie na powierzchni tych gatunków może być zastopować budowę.

Innym ważnym zadaniem jest letnie liczenie bocianów w okolicy miejsca przewidzianego na farmę wiatrową. To okres objazdu po okolicznych wioskach, sprawdzanie każdego gniazda, szukanie młodych. Znaleźliśmy kilka gniazd opuszczonych przez bociany w tym roku, czy też kilka lat temu. Rozmowy z mieszkańcami wiosek wiele mówią o obecności każdego z gniazd, dają informacje o wielkości lęgu, ilości padłych ptaków.

Jestem zwolennikiem odnawialnych źródeł energii a dzięki obecności na powierzchni przekonałem się, że badania poprzedzające postawienie wiatraków uniemożliwiają postawienie ich w miejscach gdzie migrują ptaki.

## Czy Polaków obchodzi klimat

**Ekolodzy myślą o zmianach klimatycznych jako o kwestii moralnej. Tymczasem większość ludzi tak na to nie patrzy. W końcu nikt nie wsiada do samochodu, żeby pozatruwać trochę środowisko – Adrian Wójcik z Pracowni Badań Środowiskowych UW w rozmowie z Bartłojem Kozkiem.**

**Bartłoj Kozek:** Badałeś wiedzę oraz postawy Polek i Polaków wobec zmian klimatu. Okazało się, że zdecydowana większość z nich zgadza się z tym, że są one faktem i że spowodowane są przez człowieka. Jak duże są to proporcje i czy jak kształtują się one w zależności od płci, miejsca zamieszkania czy dochodu?

**Adrian Wójcik:** W listopadzie 2013 r., a więc tuż przed szczytem klimatycznym w Warszawie, zrobiono równoległe dwa badania. Pierwsze, za które byłem bezpośrednio odpowiedzialny, było przeprowadzone na 800-osobowej próbie młodych Polaków, osób, których bezpośrednio dotkną zmiany klimatyczne. Drugie badanie prowadzone było równoległe na reprezentatywnej próbie dorosłych Polaków ze specjalnie dodaną nadreprezentacją Śląska.

Niezależnie od siebie obydwie badania wskazują, że Polacy najczęściej uważają, że zmiany klimatyczne są powodowane jednocześnie działalnością człowieka oraz zmianami naturalnymi. Jest o tym przekonanych 56% dorosłych i 66% młodych Polaków. W to, że zmiany klimatyczne są spowodowane wyłącznie działalnością człowieka, wierzy 31% osób dorosłych i 23% młodych Polaków. W końcu najmniej liczną grupę stanowią osoby, które uważają, że zmiany klimatyczne są powodowane wyłącznie przyczynami naturalnymi. Tak sądzi 12% dorosłych i 10,5% młodych Polaków.

**BK:** Jak rozkładają się te opinie wśród różnych grup społecznych?

**AW:** W większości wypadków te proporcje są ułożone mniej więcej po równo. Można tylko zauważyć, że wśród osób, które uważają, że zmiany klimatyczne wynikają przede wszystkim z przyczyn naturalnych, jest nieco więcej mężczyzn oraz osób z wykształceniem podstawowym, ale to nie są jakieś bardzo duże różnice.

Warto dodać jedną rzecz już nie o klimacie, ale o poparciu dla różnych źródeł energii. Zarówno w badaniu młodych Polaków, jak i całej dorosłej populacji, respondenci zdecydowanie popierali działania mające na celu racjonalizację i oszczędzanie energii, jak również inwestowanie w odnawialne źródła energii. O wiele niższe było poparcie dla dotowania energetyki węglowej, opartej na gazie konwencjonalnym czy łupkowym. Nawet na Śląsku największe poparcie było wyrażone właśnie wobec dotowania energetyki odnawialnej i ten poziom poparcia nie odróżniał Śląska od reszty Polski. Chociaż należy uczciwie przyznać, że Ślązacy nieco bardziej popierają dotowanie i inwestycje w energię węglową.

**BK:** W Stanach Zjednoczonych sceptycyzm klimatyczny wiąże się często z określonymi poglądami politycznymi, takimi jak wolnorynkowe poglądy gospodarcze,

konserwatyzm obyczajowy czy bliskość do środowisk politycznych takich jak Tea Party. Czy da się w Polsce zaobserwować podobny trend?

**AW:** Analizuję obecnie dane, które pochodzą z wielu różnych badań na temat postaw środowiskowych w Polsce, a które były prowadzone od początku lat 90. do teraz. To są wyniki wstępne, ale wygląda na to, że takiego bezpośredniego powiązania nie ma albo raczej należy powiedzieć: nie było. W naszych najnowszych badaniach na młodych Polakach ten związek już występuje. Osoby, które nie wierzą w zmiany klimatyczne, jednocześnie deklarują poglądy prawicowe oraz wolnorynkowe poglądy gospodarcze. Zobaczymy, czy ten trend się utrzyma, ale wygląda na to, że polskim politykom udało się upolitycznić zmiany klimatyczne i włączyć je w bardziej ogólne schematy autoidentyfikacji politycznej. Podobnie okazuje się, że poglądy polityczne wiążą się też z poparciem dla różnych form energetyki. Np. osoby opisujące swoje poglądy polityczne jako prawicowe deklarują wyższą chęć do wspierania tradycyjnych form energetyki, opartej na węglu, gazie łupkowym czy ziemnym. Liberalizm gospodarczy jest też związany z niższym poparciem dla finansowania odnawialnych źródeł energii. Powtórzę jednak, że te wyniki są znalezione wyłącznie wśród młodych osób.

**BK:** Czy istnieje jakaś różnica w tym, jak ochronę środowiska widzą osoby o poglądach lewicowych bądź prawicowych? Co przekonuje różne grupy do działań na rzecz ochrony klimatu?

**AW:** To jest dość mocno badane teraz zagadnienie. Jonathan Haidt – psycholog społeczny z New York University – pokazuje, że liberałowie i konserwatyści różnią się wagą, jaką przywiązują do różnych wartości moralnych. Dla liberałów ważna jest np. troska czy sprawiedliwość w relacjach międzyludzkich, ale i międzygrupowych. Dla konserwatystów centralne wartości to raczej czystość, lojalność wobec własnej grupy czy posłuszeństwo wobec grupowych autorytetów. Jednocześnie zdecydowana większość kampanii prośrodowiskowych nakierowana jest na troskę i sprawiedliwość, a więc już na wstępie omijają wartości ważne dla konserwatystów. Okazuje się jednak, że jeżeli w przekazie prośrodowiskowym odwołamy się do właściwych im wartości, to on zaczyna działać.

Warto też wskazywać na skutki uboczne działań prośrodowiskowych czy też ograniczających skutki zmian klimatycznych, a więc np. na to, że doprowadzą one do powstania mniej zatamizowanego społeczeństwa czy też do rozwoju technologicznego. Badania Paula Baina z Uniwersytetu w Queensland wskazują, że tego typu informacje mogą działać nawet na klimatycznych denialistów.

**BK:** Skoro tyle osób uważa, że zmiany klimatu to fakt, który na dodatek będzie miał bezpośredni – negatywny – wpływ na ich życie, to dlaczego mobilizacja społeczna czy polityczna wokół tej kwestii pozostaje w Polsce na niskim poziomie? Czy chodzi o to, że traktuje się je jako coś mniej palącego niż np. bezrobocie, czy może problem wydaje się zbyt abstrakcyjny?

**AW:** Polacy wierzą w zmiany klimatyczne i postrzegają je jako poważny problem. Jest to jednak raczej problem dotyczący innych, a niekoniecznie ich samych. W badaniu młodych Polaków spyaliśmy się, na ile uważają, że zmiany klimatyczne będą stanowić w najbliższym czasie zagrożenie dla przyszłych pokoleń Polaków, dla Polski w ogóle oraz w końcu dla nich samych. Okazało się, że o ile generalnie nie mieli oni wątpliwości co do zagrożenia dla przyszłych pokoleń czy dla Polski, o tyle niekoniecznie zgadzają się, że te zmiany będą dotyczyć ich bezpośrednio. Ten wynik nie jest zresztą specyficzny dla Polski, ale bardziej ogólny. W badaniach prowadzonych na całym świecie pokazuje się, że ludzie wierzą, że zmiany klimatyczne nie będą groźne dla nich samych. To zjawisko, które dotknie innych – przyszłe pokolenia albo osoby, które mieszkają daleko od nas.

Od początku lat 90. widać, że Polacy coraz niżej oceniają zagrożenia związane ze środowiskiem naturalnym. W roku 1993 78% Polaków oceniało swoje zaniepokojenie stanem środowiska naturalnego jako duże lub bardzo duże. Dzisiaj uważa tak około 46%. Myślę, że tutaj ludzie wnioskujeją po stanie środowiska w swojej najbliższej okolicy, który się jednak poprawia.

Młodzi Polacy niestety ciągle sądzą, że Polska jest zbyt biednym krajem, aby angażować się na poważnie w ograniczanie zmian klimatycznych. Nie mają też poczucia, że działania podejmowane przez nasz kraj mogłyby coś zmienić w skali globalnej.

**BK:** Czy na podstawie prowadzonych przez Ciebie badań miałbyś jakieś rekomendacje dla środowisk ekologicznych (ruchów społecznych, organizacji pozarządowych, partii politycznych itp.), dotyczące sposobów skutecznego zwracania uwagi na kryzys klimatyczny?

**AW:** Rekomendacja jest prosta – czytajcie psychologów społecznych! Kiedy patrzę na niektóre działania organizacji proekologicznych, to widzę, że mogłyby one być bardziej skuteczne przy minimalnym nakładzie pracy.

Parę lat temu Greenpeace przeprowadził kampanię „Gorące ceny”. Na ulicach pojawiły się billboardy stylizowane na reklamy supermarketów, na których narysowany był ziemniak z ceną 89,90 PLN za kilogram. Rozumiem, że kampania miała wywołać poczucie zagrożenia wśród ludzi i skłonić ich do działania na rzecz ograniczenia zmian klimatycznych. Problem polega na tym, że tego typu kampanie są skuteczne wtedy, gdy pokazuje się ludziom od razu, jak mogą rozwiązać wskazany problem. Tej drugiej informacji zabrakło. W ogóle wiele kampanii proekologicznych bazuje na strachu i może być przeciwnie skuteczne. Lepiej już promować nadzieję.

Pamiętam, że w ramach COP-u byłem w panelu o problemach moralnych związanych ze zmianami klimatu. Po mojej wypowiedzi dostałem pytanie od dziennikarza, czy rzeczywiście moje zalecenie jest takie, żeby lukrować i minimalizować obraz zagrożeń ekologicznych. Tutaj zupełnie nie o to chodzi, ale jeżeli chcemy być skuteczni, to musimy dostosować nasze strategie do ludzi. Członkowie grup ekologicznych są bardzo szczególnymi ludźmi i np. różnią się wartościami od reszty społeczeństwa. Są bardziej prospołeczni, mniej przywiązani do tradycji i do życia w bezpiecznym, przewidywalnym środowisku. Ekolodzy często zapominają, że to nie oni sami mają być odbiorcami kampanii proekologicznych i to nie do osób już przekonanych powinny trafiać ich komunikaty.



Fot: Marta Nowak



# Czy umiemy korzystać z europejskich funduszy?

fol. Flickr.com / Olearys



**Z Patrycją Romaniuk z Polskiej Zielonej Sieci rozmawia Ewa Sufin-Jacquemart**

**Ewa Sufin-Jacquemart:** Polska Zielona Sieć dokonała analizy wykorzystania funduszy europejskich w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego pod kątem zrównoważonego rozwoju i ochrony środowiska – tych z lat 2007-2013 oraz tych planowanych na lata 2014-2020. – Czy w strategiach wojewódzkich 2007-2013 termin „zrównoważony rozwój” był prawidłowo rozumiany?

**Patrycja Romaniuk:** Nie tylko w strategiach z lat 2007-2013, ale również 2014-2020 zrozumienie pojęcia „zrównoważony rozwój” pozostawia wiele do życzenia. Co więcej, również na poziomie krajowym, ministerialnym, do tej pory funkcjonuje częste przekonanie, że zrównoważony rozwój to taki, w którym wszystkie regiony rozwijają się tak samo. W strategiach kładzie się najczęściej nacisk na rozwój gospodarczy. Jeszcze nie wyrosliśmy z myślenia że „nie stać nas na ekologię”... To szokujące, że mimo iż jest to kluczowy koncept w strategii Unii Europejskiej, nasze władze i administracja rzadko wykazują się wiedzą, że zrównoważony rozwój to taki, który zabezpiecza potrzeby nie tylko żyjących, ale i przyszłych pokoleń, gwarantując pełną równowagę między aspektami ekonomicznymi, społecznymi i środowiskowymi. Podejście zgodne z ideą zrównoważonego rozwoju uwzględnia więc zawsze oddziaływanie na środowisko, a ten aspekt, niestety, często albo całkowicie się pomija, albo traktuje jak mało istotny.

**ESJ:** Czy wszystkie województwa wykazały podobny stopień niezrozumienia wyzwań i celów zrównoważonego rozwoju?

**PR:** Jak można się domyślić, podział na Polskę A i Polskę B niestety istnieje, również w zakresie zrozumienia pojęcia zrównoważonego rozwoju. Województwa z dużymi ośrodkami miejskimi, można powiedzieć, bardziej europejskie – Warszawa, Wrocław, Kraków, Poznań – radzą sobie na tym polu nieco lepiej niż inne, choć jak dotychczas żaden region nie rzucił nas na kolana...

**ESJ:** Jakie najistotniejsze zarzuty wyciągnęliście wobec zrealizowanych wojewódzkich RPO 2007-2013 ?

**PR:** Jest ich, niestety, bardzo dużo. Nietransparentność procesu zmian w Regionalnych Programach Operacyjnych, które około roku 2013 często potrafiły być ZUPEŁNIE innymi dokumentami niż w 2007. Uznaniowa ocena wniosków. Absurdalne kryteria, które wykazały mniejsze organizacje, bo np. na zarządzanie projektem można było przeznaczyć max. 4% całości budżetu projektu, czyli w przypadku projektu ochrony czynnej o budżecie 40 000 zł koordynator miałby wynagrodzenie raptem przez miesiąc, i to bardzo niewielkie. Nie mówiąc już o tym, że pracownicy terenowi również mieli wejść w koszty zarządzania, co jest absurdalne. To autentyczny przypadek: na nasze pytanie skierowane do Urzędu Marszałkowskiego, skąd takie kryteria, usłyszeliśmy „żeby pan prezes nie przylatywał na plac budowy własnym helikopterem”. Od razu wiadać, pod kogo były szyte projekty RPO... Wszystkich zainteresowanych zapraszamy na stronę www.

ekoprojekty.pl, gdzie znajdują się analizy wszystkich województw i więcej szczegółów.

**ESJ:** Co się zmieniło między 2007 i 2014 rokiem ? Czy strategia Unii Europejskiej i w związku z tym cele RPO są takie same ?

**PR:** Są i nie są. Strategia UE jeszcze intensywniej idzie w stronę zrównoważonego rozwoju, jako że wyzwania, które przed nami wszystkimi stoją, są coraz poważniejsze. Coraz większy jest nacisk na innowacyjność i oszczędne korzystanie z zasobów. Polscy decydenci siłą rzeczy, choć na pewno z pewnym oporem, będą się musieli do tych zwiększonych wymagań dostosować.

**ESJ:** Jakie są najważniejsze priorytety RPO na lata 2014-2020, w ramach których można będzie realizować projekty z zakresu zrównoważonego rozwoju i ochrony środowiska ?

**PR:** Zachęcamy do indywidualnego zerknięcia w projekty RPO poszczególnych województw, ponieważ one się odrobinę między sobą różnią, m. in. dostępnością dla organizacji pozarządowych jako beneficjentów – choć oczywiście cały czas lobbowaliśmy za tym, aby NGOsy miały jak najszerszy dostęp do wszystkich priorytetów. W każdym razie na pewno będą to działania z zakresu edukacji ekologicznej, ochrony przyrody, zrównoważonego transportu czy efektywności energetycznej i odnawialnych źródeł energii.

**ESJ:** Rozumiem, że Polska Zielona Sieć będzie patrzeć na ręce Urzędowi Marszałkowskim, aby cele związane z zasadami zrównoważonego rozwoju były realizowane. Gdzie leżą wasze największe obawy ?

**PR:** Tych obaw jest kilka. Największa – iż powtórzy się dotychczasowa filozofia wydawania tych funduszy: wydać jak najwięcej i jak najbardziej „skutecznie”, bez odpowiedniej troski o jakość projektów, na które te środki będą przeznaczone. Mamy jednak nadzieję, że Komisja Europejska będzie lepiej nadzorować zarówno wydatkowanie, jak i realizację celów horyzontalnych funduszy UE. Już teraz widać, jak bardzo ich podejście się zmieniło. Zostały m. in. bardzo zaostrzone kryteria wyboru projektów kluczowych, czyli takich, które nie podlegają żadnym konkursom czy konsultacjom społecznym, a czasem, jak w przypadku woj. mazowieckiego, była na nie przeznaczona aż połowa środków. Teoretycznie miały to być projekty strategiczne dla danego województwa, w praktyce okazywało się, że były często bardzo polityczne i ich strategiczność, łagodnie rzecz ujmując, bywała sporna. Przykładem jest np. rewitalizacja rynku w małym ośrodku gminnym. Nie wiadomo na czym polegał strategiczny dla województwa charakter tego projektu, a wycięte drzewa i nieprzepuszczalna kostka są dalekie od zrównoważonego rozwoju – nie służą ani mieszkańcom, ani bioróżnorodności.

Niezwykle istotne jest aby organizacje pozarządowe przyglądały się procesowi wydatkowania funduszy w swoich regionach, nie zając się tylko i wyłącznie na członków Komitetów Monitorujących. Teraz mamy zresztą jeden z najbardziej kluczowych momentów w programowaniu nowej perspektywy, mianowicie powstają tzw. uszczegółowienia do RPO, a jak wiadomo diabeł tkwi w szczegółach. To właśnie w nich jest zapi-

sane, jak owe środki będą wydawane, i okrągłe zdania z RPO, m. in. o zrównoważonym rozwoju, są przekładane na wymierne konkrety. Warto się zainteresować tym tematem i wziąć udział w konsultacjach uszczegółowień.

**ESJ:** Czy macie jakieś dobre rady dla organizacji pozarządowych zajmujących się ekologią, ochroną środowiska i zrównoważonym rozwojem, aby pomóc im skutecznie realizować ich misję ?

**PR:** Najważniejsza rada: aktywnie kształtować to, jak wyglądają dostępne dla NGOów środki, a to można zrealizować między innymi za pomocą konsultacji. Nie twierdzimy, że teraz każda organizacja powinna stać się watch-dogiem, ale pracując na co dzień przy monitorowaniu wdrażania i programowania funduszy w całej Polsce, widzimy, jak boleśnie mało organizacji angażuje się w proces programowania nowej perspektywy. A od tego, jakie zostaną podjęte decyzje, zależy nie tylko to, czy rozwój w ich regionie i całym kraju będzie zrównoważony lub nie; wyznaczy to również dostępność środków dla samych organizacji.

Dlatego też zachęcamy wszystkich do wzięcia udziału w organizowanej przez nas konferencji „Fundusze europejskie 2014-2020 w regionach: dla ludzi i środowiska”, która odbędzie się w dniu 18.09.2014, w Centrum Konferencyjnym Zielna, ul Zielna 37, Warszawa. Będzie można się na niej szczegółowo zapoznać z planami dotyczącymi RPO w latach 2014-2020.

.....  
**Chętnych zapraszamy do zgłaszania się mailowo do Ani Krawczyk na adres [aniak@zielonasiec.pl](mailto:aniak@zielonasiec.pl).**

Czy rock

## podzieli los

jazzu?



Tadek Łazuka

W swojej autobiografii Miles Davis stwierdził, że jazz – gatunek muzyczny, w którego historii zapisał się jako jeden z największych innowatorów – „stał się czymś martwym, co wsadza się do muzeum pod szkło i studiuje się”. Podstawą do wydania takiego sądu było przeświadczenie, któremu dawał wyraz słownie i w praktyce, że muzyka musi stale ewoluować, aby nie stać się wtórną i w następstwie bezwartościową.

Historia jazzu stała się żywym potwierdzeniem jego tezy. Od początku XX w. do mniej więcej przełomu lat 60. i 70. jazz stale podlegał radykalnym zmianom stylistycznym. W momencie, gdy one ustały, zaczął powoli przeobrażać się w to, czym jest dzisiaj – oderwaną od rzeczywistości imitacją brzmienia sprzed lat. Nie piszę jednak o tym, aby pastwić się nad jego słabą kondycją, ale zwrócić uwagę na fakt, że od kilku lat da się zauważyć podobną, szkodziłą tendencję w szeroko pojętej muzyce rockowej.

Z początku może się wydawać, że jest zupełnie na odwrót. Nie można w końcu zaprzeczyć, że rock, po kilku latach kryzysu, przeżywa okres finansowego urodzaju i wzmożonej popularności. Na rynku płytowym albumy rockowe sprzedają się bardzo dobrze, festiwale i koncerty przyciągają masę fanów, a na każdym rogu spotkać można symbolicznego chłopaka z gitarą, który serwuje przechodniom własną interpretację największych przebojów Dżemu.

Szkopuł w tym, że w żaden sposób nie wiąże się to ze wzrostem jakości muzyki, a tym bardziej z pojawieniem się jakiejś świeżej myśli. Rockowa scena coraz rzadziej wydaje coś ciekawego, zamiast tego zapatruje się w to, jak świetną była dawno temu. Wystarczy spojrzeć na listę przebojów Trójki, aby przekonać się, że dzisiaj dzieli się ona na dwa rodzaje wykonawców: tych starych

(niekoniecznie jarych), którzy grają od minimum dwudziestu lat i tych młodych, którzy naśladują brzmienie tych starych. To, że Stonesi czy AC/DC wciąż cieszą się popularnością, nie jest oczywiście niczym złym – świadczy to o ponadczasowości ich muzyki; w najgorszym przypadku mniej życzliwy obserwator oskarży ich o odcinanie kuponów lub zażartuje z ich zaawansowanego wieku. Niepokojące jest to, że młodzi muzycy, którzy w domyśle powinni być motorem zmian, nie wnoszą nic oryginalnego do formuły ustanowionej przez ich poprzedników.

I tak artyści nawiązujący do klasycznego rocka starają się grać jak najlepsze zespoły z lat 60. i 70., ale brakuje im do tego polotu i wiarygodności. Zespoły indie i „alternatywne” (choć dzisiaj ciężko je już nawet nazywać „alternatywnymi” w cudzysłowie)

idą na tym, co w poprzednim wieku robili Pixies i Radiohead. Cięższe brzmienia mają się jeszcze gorzej. Odkąd metalowcy założyli szczęśliwe rodziny, kupili duże, ładne domy i zamienili garaże na klimatyzowane studia nagraniowe, ciężko im wykrzesać niezbędną agresję i nastawienie fuck the system. W rezultacie w ich muzyce coraz mniej jest energii, a coraz więcej pretensjonalności (dotyczy to zarówno „dinozaurów” pokroju Metalliki, jak i nowych zespołów). Punk, wbrew zapewnieniom nielicznych ostatnich fanatyków, nie żyje. Kompletny zastój. Ostatnie przełomowe wydarzenia w muzyce rockowej były związane z najlepszymi dokonaniem takich zespołów jak System of a Down, The White Stripes i Tool, czyli okolicach roku 2000.

Jakie są przyczyny tego zjawiska? Dużą rolę grają tu konserwatywne gusta rockowej au-

diencki. Większości słuchaczy, w myśl cytatu inżyniera Mamonia z Rejsu „podobają się piosenki, które już raz słyszeli”. Cóż, ich sprawa. Konserwyzm ten jest jednak na tyle daleko posunięty, że dochodzi do takich absurdów jak cover bands – zawodowe podróby Pink Floyda lub The Beatles, które na horrendalnie drogich koncertach wykonują największe przeboje nieistniejących już zespołów, imitując ich sposób grania, ubiór, maniérę sceniczną itd. Nie wiem, czym kieruje się osoba wybierająca się na taką szopkę (chyba rozumie, że to nie jest The Beatles...), ale świadczy to jednoznacznie, że duża część słuchaczy rocka nie przejmuje się za bardzo autentyzmem. A skoro jest popyt, jest i podaż. I twórców muzycznie wstecznych pojawia się coraz więcej.

Dziennikarze również przyczyniają się do tego stanu rzeczy. Większość poważnych mediów – gazet i rozgłośni radiowych (mówię o was, Trójko i Teraz Rocku) jest zdominowana przez dziennikarzy, dla których w języku angielskim wymyślono specjalny termin – rockism. Wychowani na konwencjonalnej odmianie rocka, nie są w stanie zaakceptować niczego, co brzmi odmiennie, jednocześnie głosząc swoje ograniczone gusta jako ostateczny wyznacznik jakości i promując tylko to, co tymże ograniczonym gustom schlebia. Przez to ich odbiorcy dostają bardzo zniekształcony obraz tego, co jest warte posłuchania na rynku muzycznym. I zamiast spróbować czegoś nowego idą na Australian Pink Floyd Show, bo są przeświadczeni, że obecnie nie ma nic bardziej wartościowego.

Trzeba też zwrócić uwagę na to, że samo środowisko rockowe nie jest już tym, co dawniej. Rock zwyczajnie się ustakował – słucha się go od pokoleń, nikogo już dzisiaj specjalnie nie burzy. Czasy, gdy był on ruchem ideowym, już minęły. A wiadomo, że rock składa się w pięćdziesięciu procentach z muzyki, a w pięćdziesięciu z buntu i obyczajowej kontestacji. W dobie wzrastającego dobrobytu tych drugich czynników zaczyna w nim brakować.

To wszystko składa się na obecną sytuację, ale nie można też zapominać o być może najważniejszym czynniku. Rock istnieje już od sześćdziesięciu lat. Od czasu rock and rollo- wych przebojów o tematyce nastoletnich miłości przybierał on tak wiele odmiennych form, że zwyczajnie jego formuła może już być wyczerpana. Nie należy się go kurczowo trzymać tylko dlatego, że się do niego przyzwyczailiśmy, bo jego świetność była nierozdzielnie związana z tym, jak idealnie wpasowywał się w burzliwą atmosferę drugiej połowy XX w. I tak jak minęła era baroku i klasycyzmu, tak samo minie era rocka.

Czy to oznacza, że muzykę rockową definitywnie czeka przywdzianie przysłowiowych bamboszy i udanie się na emeryturę? W końcu wieszczono to już wiele razy, tylko po to, by później odszczekiwać. Można mieć nadzieję, że i tym razem jest to okres przejściowy, który w przyszłości zaowocuje kolejnym stylistycznym przełomem. Trzeba wziąć pod uwagę, że rocka cechuje wyjątkowa elastyczność i przez to jest podatny na zmiany bardziej niż na przykład jazz. Dzięki temu wystarczy mały bodziec ze strony jakiegoś artysty, aby zapoczątkować zupełnie nowy kierunek, tak jak to miało miejsce w przypadku punk rocka. Ale choć wszyscy byśmy sobie tego życzyli, to dzisiaj ta rewolucja będzie znacznie trudniejsza niż zagranie trzech akordów.

.....  
Tadek Łazuka – uczeń warszawskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Aleksandra Kamińskiego oraz Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Józefa Elsnera. Miłośnik muzyki, literatury i koszykówki.



# Opowiedzieć Łódź

## – historie mówione i pamięć miasta

fot. Flickr.com /David Berkowitz



### Marta Madejska

Łódź, najmłodsze spośród dużych polskich miast, posiada niezbyt szanowane w naszej narracji narodowej dziedzictwo postindustrialne i zanikającą już w pamięci wielokulturową przeszłość. Postępujące od momentu transformacji ustrojowej i upadku przemysłu wyludnienie wpływa niestety na zrywanie transmisji pamięci. Zbieranie wywiadów z najstarszymi łodzianami i łodziankami, którego w 2010 r. podjęło się Stowarzyszenie Topografie, miało pomóc w dotarciu do faktów i wspomnień, które w żaden inny sposób nie doczekałyby się uchwycenia i zachowania.

Historie mówioną można pokrótce zdefiniować jako rejestrowanie, badanie i zachowywanie wspomnień istniejących w pamięci jednostkowej i zbiorowej. Jako dyscyplina historyczno-etnograficzna w świecie zachodnim wyodrębniła się w czasach nasilania ruchów obywatelskich lat 60., okazała się szczególnie przydatna dla dokumentowania historii grup i warstw społecznych nie posiadających środków i możliwości produkcji własnych tekstów kultury – kobiet, środowisk robotniczych, mniejszości rasowych i etnicznych. W późniejszych czasach zaczęły mnożyć się archiwa bazujące na historii mówionej, mające na celu dokumentowanie codzienności, historii społecznej i doświadczeń prywatnych. Wydaje się, że w naszej części Europy największą wagę przykładają do figury „świadka historii”, szczególnie wobec doświadczeń II wojny światowej i późniejszych walk politycznych.

W takim charakterze często występują rozmówcy projektów zbierania historii mówionych Ośrodka Karta – bodaj najstarszej polskiej organizacji zajmującej się tego typu działalnością. Kierowani ich doświadczeniem, postawiliśmy na metodę wywiadu narracyjno-biograficznego, w którym osoba przeprowadzająca wywiad „zanika” (w miarę możliwości nie zadaje pytań, pozostawiając opowieść rozmówcy swobodnemu tokowi rozwoju). Choć pod wieloma względami bliżej nam było do Bramy Grodzkiej (Teatr NN) w Lublinie, która skupia się na lokalnym charakterze działania i próbach pracy z tożsamością kulturową miasta.

„Opowiedzieć miasto”, nasz pierwszy projekt, miał posłużyć za „rozpoznanie w terenie”. Uczylimy się w praktyce, tworząc elementarz do zbierania historii mówionych, któ-

ry mógłby być wykorzystany również przez uczniów szkół średnich. Kolejne projekty ukierunkowane były już na określone grupy rozmówców, co wynikało zarówno z naszych planów, z pracy badawczej prowadzonej przez niektórych z nas, jak i konieczności dostosowania się do priorytetów grantowych, dzięki którym utrzymuje się Stowarzyszenie.

Przykładowo „Łódź akademicka” to projekt naukowo-badawczy prowadzony w ścisłej współpracy z Katedrą Socjologii Kultury IS Uniwersytetu Łódzkiego, który w niedalekiej przyszłości poskutkuje publikacją. Z narracji najstarszych profesorów UŁ wyłania się między innymi historia początków uniwersytetu tworzonego w czasach powojennych, kiedy w Łodzi chwilowo skupiało się życie kulturalne i społeczne kraju oraz spostrzeżenia o tym, jak zmieniła się i funkcjonowała

tym często wyłącznie przez pryzmat ich dzieł, nasz projekt jest próbą dotarcia do biografii osadzonych w konkretnych kontekstach i realiach: historycznych, politycznych i życiowych, a wreszcie – w konkretnej przestrzeni miasta.

Nie po raz pierwszy z wywiadów biograficznych wyłaniałyśmy indywidualne mapy mentalne, konkretne miejsca istotne prywatnie lub środowiskowo. Odstuchując fragmenty nagrań w bezpośredniej interakcji z miastem, można przebywać w podwójnej czasoprzestrzeni – obecnej i przeszłej, wyłaniającej się ze słuchanej opowieści.

Zupełnie inny charakter miał pomysł na „Mistrzów codzienności”, skierowany na łódzkich rzemieślników, uprawiających zawody niejednokrotnie już ginące pod naporem sieciowych, korporacyjnych usług i zanikających przez

77% łodzianek, z czego znaczna część właśnie w przemyśle. Ich głos – o ile decydują się na mówienie – to głos z perspektywy, której nie odnajdziemy w podręcznikach szkolnych, ani w kinie popularnym, ani nawet w programie lokalnych instytucji.

Zbierane w Łodzi historie tworzą zupełnie innego typu palimpsest niż choćby w przypadku zniszczonej wojną Warszawy. Miasto Ł. zachowało w czasach wojny swoją tkankę urbanistyczną, ale uległo głębokim zmianom społecznym. Upięknienie, modernizacja i niedobory poprzedniego systemu, wreszcie kapitalizm pierwszych dekad po transformacji, kiedy na potęgę wyburzano XIX-wieczną architekturę – to wszystko składa się na kształt przestrzeni miasta.

Uchwycenie wspomnień miało pomóc w „rewitalizacji tożsamości”, w zyskaniu zrozumienia swojej specyfiki, odzyskaniu dla niej szacunku. Jednak takie „przeżrebanie” regionalnej historii służy nie tylko lokalnej wspólnotce. Zmienia naszą perspektywę na historię kraju i to, jak budowana jest polityka pamięci – w opcji militarystyczno-bohaterskiej, warszawo-centricznej, zacierającej trudną wiedzę o tym, że zmiany struktury klasowej i ujednoczenie narodowe zawdzięczamy wojnie i stalinowskiemu projektowi modernizacji. Historie mówione ujawnią inne sploty rzeczywistości w miastach „ziem odzyskanych”, inne bliżej Białegostoku i Moniek. Jeżeli dobrze się w nie wsłuchać, niekiedy rozsadzają obowiązujące ramy myślenia i pamiętania.

Materiały zbierane przez Stowarzyszenie Topografie są stopniowo udostępniane w oparciu o zasady Creative Commons portalu Miastograf.pl. Cyfrowe Archiwum Łodzian Miastograf – częściowo interaktywny zbiór wspomnień, pamiątek z domowych archiwów i prywatnych kolekcji łodzian oraz doniesień z prasy, przyporządkowanych do konkretnych adresów na mapie – powstaje dzięki projektowi dofinansowanemu przez Muzeum Historii Polski.

Łódzkie Stowarzyszenie Inicjatyw Miejskich Topografie – organizacja społeczna istniejąca od 2007 r., stawiająca sobie za cel wspieranie budowy pozytywnej relacji łodzian i mieszkańców województwa łódzkiego ze swoim miejscem zamieszkania oraz działanie na rzecz poprawy jakości życia w Łodzi poprzez zachowanie i rozwój lokalnego dziedzictwa, animację kultury, edukację regionalną i inn. Od 2010 r. stowarzyszenie prowadzi Miejski Punkt Kultury Prexer-UŁ.

.....  
**Marta Madejska – kulturoznawczyni, koordynatorka ds programowych Regionalnego Kongresu Kultury w Łodzi, członkini Łódzkiego Stowarzyszenia Inicjatyw Miejskich Topografie.**



Na zdjęciu: wystawa finalizująca projekt „Opowiedzieć miasto - łódzkie historie mówione”, 2010, fot. Anna Jędrzejak

uczelnia na tle przemian społeczno-politycznych w Polsce. Na elity kulturotwórcze skierowany był również projekt „Życie dziełem – cienie, szepty, ścieżki wielkich łodzian”, jednak wbrew tytułowi, główny punkt zainteresowania szybko przeniósł się na mniej znane postaci. Pisaliśmy wtedy: *Myśląc o wielkich twórcach kultury związanych z Łodzią zwykliśmy zatrzymywać się na Reymoncie czy Tuwimie nie doceniając tych, którzy z Łodzią związali w całości swoje życie, pracę i twórczość. Chcieliśmy przedstawić postaci trwale związane z Łodzią, budujące jej życie kulturalne latami lecz znane nieraz tylko w wąskich kręgach swojej dziedziny. Twórców kultury postrzega się przy*

brak chętnych do przejęcia fachu. Mimo to na swojej drodze codziennie jeszcze mijamy – na ogół niezauważane pod skromnymi szyldami – zakłady zduńskie, metaloplastyczne, modystyczne, kuśnierstwa, naprawy parasoli czy gorseciarstwa. Celem było stworzenie mapy tych miejsc dla śródmieścia i uchwycenie, jak zmieniło się rzemiosło na przestrzeni lat.

Obecnie prace kierujemy na jedną z najważniejszych, „niewysłuchanych” warstw historii Łodzi – na pamięć robotniczą zatrudnionych w lokalnym przemyśle. Sektor włókienniczy i odzieżowy od zawsze odznaczały się wysokim procentem feminizacji załogi pracowniczej, u schyłku PRL zatrudnionych było

Jerzy Andrzej  
Masłowski



#### Nie pozwól

Z rusalek, z elfów, z dobrych wrózek  
z miejsc, gdzie spełniają się marzenia  
z zaczarowanych lunaparków  
z wielkich podróży, aż do Plejad  
z nocy pachnących tajemnicą  
z szaleństw, co zakwitają wiosną  
z jesiennych tęsknot, z głupich wzruszeń  
nie pozwól, Boże, mi wyrosnąć.

#### Łączka

Ziółka, kwiatki, bławatki  
pachnące powoje  
żuczki, jedwabne ważki,  
pszczołek złote roje  
ptaszęta, co śpiewają  
najśodszy poemat...  
Wszystko na siebie czyha  
i wszystko się żera.

#### Pocieszanka?

Nawet życie szczęściarzy  
śliczne i magiczne  
jest historią, co w końcu  
skończy się tragicznie.

#### Obietnica

Przyrzekam, będę inny  
powściągliwy, wręcz zimny  
nie będę pił i palił,  
pięściami w biurko walił  
nie będę też łakomy,  
bezczelny i szalony,  
złośliwy i rozrzutny  
melancholijny, smutny  
nie będę stroił fochów  
i tykał na sen prochów  
nie będę szydził, kręcił...  
Kiedy? Zaraz po śmierci.

#### Z kapliczek...

Z kapliczek, z ikon, z ołtarzy  
zawsze z daleka, z wysoka  
spoglądasz surowo, wyniośle...  
Tak się nie patrzy, gdy się kocha.

#### Zdumienie

Dwa słowa: Odchodzę. Żegnaj.  
skreślone w pośpiechu, niedbale...  
I ból. I nagłe zdumienie:  
I co? I żyje się dalej?

#### Nie znajduję

Nie znajduję cieplejszych słów dla ciebie  
jak nie znajduję miliardów w miliardzie  
nie pokocham ciebie jeszcze mocniej  
tak jak kiedyś nie umrę bardziej

.....  
Jerzy Andrzej Masłowski - poeta, autor tekstów piosenek, prozaik, dziennikarz.

Obrazki z Lublina

Małgorzata Wołoszczuk



## Ulica Ruska i okolice

Najbardziej na świecie lubię siekać koperek i wrzucać go garściami do gotującej się młodej kapusty.

Inna rzecz, która najbardziej lubię na świecie to zdejmowanie cienkiej skórki z młodych ziemniaków, takich, które jeszcze tego samego ranka zostały wykopane z ziemi i - jeszcze wilgotne i pachnące ziemią - przywiezione starym żukiem albo furmanką na targ przy ulicy Ruskiej, na Podzamczu, obok cerkwi.

Oprócz ziemniaków, na Ruskiej można kupić twaróg odsączony w woreczku płóciennym, garstkę grzybów lub czegośkolwiek, bukiety polnych kwiatów, rzodkiewki, które gryzą w język, wianuszki czosnku, takiego jedyne prawdziwego, drobnego i dobrego, o silnym zapachu i jeszcze silniejszym smaku, różne gatunki cebul i cebulek, kapustę głowiastą i kapustę kiszoną, ogórki małosolne, pomidory malinowe - duże i nieforemne, także z tego rodzaju - jedyne prawdziwe, włoszczyznę wiązana sznureczkiem, pęczki boćwiny, w ogóle wszystkiego - na pęczki, jaja kurze i gęsie, kaszę jaglaną z wora jutowego, makę białą i ciemną „od chłopca”...

Z takiej mąki chleb smakuje tak, jak ten z piekarni na Furmanskiej.

I jeszcze najbardziej na świecie lubię łązenie Lubelską Starówką (taka polska a jakby włoska), zagładanie w zaułki lub przesiadywanie w ogródkach no-

womodnych lokali gastronomicznych w starych murach.

Sprawdzanie, gdzie i w jaki sposób podają aktualnie pierogi ruskie (już są nawet ruskie z włoskim parmezanem - bravo, bravo!) i placki ziemniaczane - najlepsze z gęstą, kwaśną śmietaną i gdzie powstała kolejna włoska pizza lubelska

#### Pierogi ruskie z białym serem z Ruskiej:

zrobić pierogi ruskie według przepisu własnej mamy. Podawać posypane świeżymi ziołami (tymiankiem, majerankiem, koperkiem...).

#### Pierogi po lubelsku czyli moje ulubione:

Ciasto jak na każde pierogi, składniki: ok. 60 dkg białej maki z Ruskiej, jedno kurze jajo lub nie, letnia woda.

Zagnieść miękkie i gładkie ciasto, wykrawać kraszki i wypełniać je farszem, ładnie sklejać (trzeba się nauczyć).

Farsz: duży twaróg z woreczka płóciennego, 3 szklanki ugotowanej kaszy gryczanej, łyżeczka miodu, pęczek świeżej, drobno posiekanej mięty.

Ugotować, podawać z gęstą śmietaną (adres zakupu tychże jak wyżej)



fol. Małgorzata Wołoszczuk



Felieton sportowy Wojciecha Kłowskiego

## Źli chłopcy i sport

Tuż po wielkim triumfie Joanny Jędrzejczyk w USA i pierwszej - spektakularnie wygranej - walce w oktagonie UFC, które to wydarzenie główne media kompletnie przemilczały, pojawiła się wiadomość z kręgu sportów walki, którą z kolei media ochoczo podchwyciły: oto CBS aresztowała w Olsztynie kilku zawodników MMA, w tym „mistrza MMA czecheńskiego pochodzenia, Aslambeka S.". Zarzuty: rozboje i wymuszenia haraczy. To dopiero smakowita wiadomość!

Zanim napiszę o aresztowaniu Aslana Saidowa (anonimizowanie jego nazwiska jest tak samo skuteczne, jak gdybyśmy chcieli napisać, że aresztowano prezesa jednej z głównych partii politycznych, Jarosława K.), chciałbym jeszcze nacieszyć się sukcesem Joanny Jędrzejczyk. To, w jaki sposób Joanna dotarła do UFC, jest tematem na dobry film. Niewielu jest zawodników, którzy swoją SIÓDMĄ zawodową walkę toczą już na arenie UFC. Ale pokonanie najpierw Julii Berzikovej na jej terenie w Moskwie, potem zlanie w Warszawie wcale niełatwej Karli Benitez, a wreszcie na Cage Warriors Fighting Championship w Londynie spektakularny nokaut Rosi Sexton - to wszystko musiało zrobić wrażenie na właścicielu UFC. Przeciwniczka Joanny, Juliana de Lima Carneiro, całkiem solidna zawodniczka z Brazylii, przygotowała się do walki z Polką, jak nigdy przedtem; dla niej to też był debiut w UFC i wielka szansa. Ale Joanna pokazała fenomenalną formę. Stójka na poziomie, jakiego nie widywaliśmy w tej dywizji wagowej i chyba nieprędko zobaczymy. I całkiem solidna defensywa przed parterem. Za-

szlone zwycięstwo i prawdopodobnie jeszcze w tym roku walka o tytuł bezspornej pretendenci do pasa UFC. W takiej sytuacji nie był jeszcze nikt z Polaków. Czapki z głów!

A teraz - sprawa Aslambeka Saidowa. To klubowy kolega Joanny Jędrzejczyk z olsztyńskiego Arrachionu. Podobno jest zwyczaj niekomentowania takich spraw przed rozstrzygnięciem, przez sąd i nawet serdeczni przyjaciele Aslana odpowiadają na pytania mediów wymijająco. Ja złamię ten zwyczaj i odpowiem wprost: nie wierzę w winę Aslambeka Saidowa. Jest oczywiste, że wokół sportów walki gromadzą się nie tylko grzechni chłopcy. Bokserzy Szpilka czy Kostecki na naszych oczach łądowali w więzieniach za naprawdę paskudne sprawy, wychodzili po odsiedzeniu kary i - dalej byli niezłymi sportowcami. Rafał Moks w którejś z walk miał dziwnie obandażowaną kostkę, ale całe środowisko wiedziało, że bandaż kryje nie kontuzję, tylko - elektryczną bransoletę, środek identyfikują-

cy miejsce pobytu podejrzanego. Nikt przytomny nie twierdzi, że na ringach i w klatkach walczą tylko anioły. Ale z Aslambekiem Saidowem sprawa ma się inaczej. To człowiek, którego bardzo trudno podejrzewać o zarzucany mu czyn. Moja wyobraźnia tak daleko się nie rozciąga. Łatwiej mi uwierzyć w inną wersję: nie ma nic łatwiejszego, niż w dzisiejszej Polsce oskarżyć o brutalne czyny brodatego muzułmanina, a w dodatku zawodnika MMA. Wyobrażam sobie kontekst: policja co chwila musi się tłumaczyć z - jak się okazuje - fałszywych oskarżeń, rzuconych kiedyś na niewinne osoby na podstawie pomówień „świadków koronnych” - gangsterów, którzy akurat lepiej spodobał się śledczemu i to im, a nie kolegom, zaufano. Aresztowania ogłasza się z fanfarami, a późniejsze zwolnienia i niewinienia przechodzą bez echa. Krzywdą i oplucie czyjegóż imienia ciągną się latami. Dopóki nie usłyszę przekonujących dowodów, innych niż pomówienia olsztyńskich kiboli, Aslambek Saidow jest dla mnie NIEWINNY. Rzekłem.

